6078 II

1851.

24. VIII. 01. dono dedit
Henricus Wohl
Varsaviā

1901. d. 375.

Biblioteka Jagiellońska.

№ 6078
II

BIBLIOTH. UNIV.
JAGELLONICAE

N: 6078

N° 6078

I

JORDAN.

FANTAZJA DRAMATYCZNA.

PRZEZ

Antoniego Sowę.

(Józef Żeligowski.)

Część II.

1851.

HENRYK WOHL

BIBLIOTH. UNIV. JAGELLONICAE

Na krzyżu gołąb siądzie i krzyża ramiona
Skrzydłem Ducha Świętego w jeden promień złączy;
Nie przemoc ale miłość złość wyrzenie z łona,
I co miłość poczęła, to miłość dokończy.

Voilà la grande difficulté : élever le bruit confus de la foule jusqu'à la dignité de l'art, s'inspirer librement du spectacle des choses présentes et donner en de sérieux symboles une consécration idéale de la pensée populaire.

Saint-Renné Taillandier.

Wstęp.

Książka ta ukończona w roku 1847, w czém się odwołujemy do poważnego bardzo świadectwa znakomitego w naszej literaturze P. Mikołaja Malinowskiego, nie bez żalu autora, lubo z przyczyn od niego niezależnych, około dwóch lat przeleżała w tece.

Życie umysłowe bieży niepowstrzymane, jak wskazówki zegaru. Życie umysłowe ma swoje godziny, jak godziny zegaru; a lubo nie tak łatwo obrachować wiekową godzinę na historycznej zegaru przestrzeni, toż przecie głównie chodzi o to we wszystkich umysłu produkcjach, aby historycznemu czasu zegarowi nie kłamać. Dwa lata, powiedzieliśmy, książka ta przeleżała w tece, lecz co w przeciągu dwóch lat nabiera już dawności, a za nią zapomnienia prawo, to nigdy nie miało prawdziwego życia. Było to dziecię, już w łonie matki nie mające życia warunków, któremu dano było tylko spojrzeć na świat i umrzeć.

Nie zmieniając wcale w najmniejszej części ani osnowy ani charakteru ani wykończenia téj książki,

o ile jej szata zewnętrzna znalazła dosyć uznania pokazania się światu, oddajemy ją czytelnikom tak, jak ona w myśli urodziła się autora.

W drugiej edycji pierwszej części Jordana przyrzekłem czytelnikom odpowiedzieć na robione mi postrzeżenia, z których rad zawsze każdy piszący korzysta, skoro tylko poczuł świętość zawodu, nie robiąc go celem swojej ambicji.

Pisarze i krytycy, (do tych ostatnich liczę ogólnie całą massę wykształconą czytających) winni w stosunku do siebie bezwarunkową miłość prawdy, odrzucając wszystkie względności indywidualne. Stara to za nadto prawda, lecz nigdy za nadto święta! Oby tak było, jak być powinno! Niestety! czyż tak jest? Szkoda, że dość jeszcze o tém mówić trzeba. Tak, jak sektarstwo religijne, jak partje w życiu publicznem, tak koterje i sektarstwo literackie są wypadkiem braku wewnętrznej siły szukającej podpory w sztucznych konwencjonalnych środkach, — to jest: brak ducha.

Wszystkie na tej drodze tworzące się quasi zasady estetyczne starają się raz wspierać i podszywać pod maksymę tolerancji krytycznej dla podniesienia talentów, zachowując sobie niezmierną wolność chwalenia koterji swojej wyznawców; to znowu drugiej chwytają się ostateczności, rzucając zażarte, (prawie jeszcze przed wyjściem książki) gotowe recenzje na zwo-

lenników drugiej partji. Jedna i druga zasada i środki są nieszlachetne i nieskuteczne. Przegląd historyczny krytyki europejskiej przekonał nas wszystkich, co czytamy, że krytyka taka przedzierzga się w zupełny konwencjonalizm i staje się abecadłem wzajemnych pochwał, lub przeciwnie. Tak było w przedostatniej epoce naszej literatury. Jak jest dzisiaj?.. niech na to krytyków sumienie i czytająca publiczność odpowie.

Jeśli kto nie wierzy, że wybuchów wulkanu tysiąc nie zasypie grabarzy, że biegu Missysypi tysiące nie zatamuje grobli, to niech przejrzy najzłośliwsze recenzje pierwszych a wielkich utworów Szyllera, Bajrona, Jean Paula, wieszczka z doliny i t. d.;— jak równie z drugiej strony, co tylko konwencjonalnie może być ciepłe i płynne, to dla ludzkości wszystko jedno: czy przy sztucznem ognisku kto dla siebie jednę lub dwie pochwały upiecze, lub przy sztucznie wykopanym strumyku jednę drachmę lub cały spichlerz plew zmiele! Krytyka ze stanowiska swego kapłaństwa i sądzić i rozgrzeszać i nauczać i błogosławić lub potępiać powinna, a zawsze podług głębokich wiary artykułów estetycznego wyznania! Jej przepisy są jak konfessjonału przepisy; żadne kapłaństwo konwencjonalne być niemoże: a krytyka bez tej godności krytyką nie jest. Im bardziej sąd publiczny dojrzewać będzie, tém bar-

dziéj krytyka rość musi. Smutny jest bardzo stan umysłowości, gdzie krytyka nie jest organem publicznego głosu, lecz kupiecką spekulacją księgarzy lub szermierstwem. Nie będę wyjawiał imion jawnogrzeszników krajowéj literatury, rádbym ich raczéj jutro uświęconemi autorami zobaczyć. Są grzechy spótczne, które wczora jeszcze były powszedniemi, a dzisiaj już się śmiertelnemi stały! Nie mamy prawa dziś być tém, czém byliśmy wczora; ani jutro, czém dzisiaj; bo nie darmo dla nas rozchodzi i zachodzi słońce. Uważałem za dług swój dorzucić parę myśli, jako grosz wdowi do karbony przewijających się u nas w teorji i czynie wyższych i piękniejszych pojęć o krytyki kapłaństwie. Wspomniałem o tém z całą bezinteressownością, bo ja do żadnej koterji nie należę, ani zostałem żadnej nikczemnej krytyki ofiarą, oświadczając szczerą wdzięczność tym wszystkim, którzy mnie w zawód pisarzy wstępującego, ze szlachetném uczuciem braterstwa i miłości powitali, sądząc mnie bezinteressowanym ich sumienia sądem.

Dwa główne zarzuty ustne i pisane robiono pierwszej części Jordana: jeden tyczący się formy, drugi braku jéj i dramatyczności – czynu. Odpowiem na to, nie dla tego, abym bronił siebie, bo czuję, że milczenie byłoby chlubniejsze dla mnie, zostawując każdemu sąd własny, bo istotnie stokroć chlubniejsze

jest milczenie nad troskliwą siebie obronę. Lecz nie o chlubę mi chodzi, ale tylko o wypowiedzenie swojego estetycznego wyznania, o ile na ten raz zręczność mi się nastręcza. Co do formy: wyznaję, iż wybrałem najdowolniejszą, jaka mi się najbardziej dogodną zdała do wypowiedzenia tego, co mi się wypowiedzieć chciało; i miałem do tego prawo: a szukając nawet legitymacji mojego wyboru formy, na to wszystkie literatury europejskie w imieniu swych mistrzów: Goethego, Bajrona, Jean-Paula i t. d. dają swoję sankcję. Wie to zapewne nie jeden z czytelników, że forma, rama dramatu są bardzo często za ciasne, ażeby mogły w sobie zamknąć całą myśl autora. Ja to czułem i dla tego wziąłem najswobodniejszej formy. Jedno jest tylko prawo zasadnicze dla formy, — piękność. We wszystkich utworach prawdziwego poetycznego natchnienia, czy myśl przybiera szatę, słowa, tonu, farby czy kamienia, forma być musi prawdziwie i koniecznie piękna; jak przeciwnie podług wszystkich przepisów robiona i zrobiona piękność, musi być brzydka. Formy więc Jordana, co do jej wyboru, z najlepszą wiarą najśmielej bronię; gdy zaś chodzi o zarzut braku prawdziwych natchnień, które nie zdołały piękności formy wywołać, to chętnie do wszystkiego się przyznaję.

Jeszcze parę słów na zarzut o braku akcji czynnej w Jordanie. Autor Jordana może fałszywie, lecz

z dobrą wiarą, pragnie wypowiedzieć swoje pojęcie o czynie. Nieraz nam się zdarzyło czytać, słyszeć i boleć nad jednostronnem pojęciem znaczenia czynu, który staje się hasłem nowej epoki. Nie każda przecie robota, nie każda czynność jest już czynem. Czyn w swojem prawdziwem znaczeniu i na swojej wysokości epoki i czasu, jest zawsze tylko bezpośredniem dzieckiem ducha w widocznej szacie, niby jego krwią i ciałem, jego przedstawicielem, lub dzieckiem ducha czasu. Wielkie słowo, n.p. jednające zawziętość niesprawiedliwości — jest czynem, jak zwycięztwo licznego wojska. Wielkie słowo ducha, co zapładnia i ożywia piersi tysiąców, co tysiące piersi podniesie, uszlachetni, nakarmi moralnie, jest czynem, również jak ofiara ze spichlerzów zboża, co tysiące żołądków nakarmi i od śmierci uchowa. Im bardziej życie umysłowe, pojęcia kraju są wykształcone, im bardziej duch podniesiony, tém wyższe i szlachetniejsze tam czyny; tam nawet każdy uczynek, każda czynność w zwyczaju domowém, podnosi się na wysokość czynu, bo jest promieniem ze słońca idei, które szczęściu i dążnościom ogółu przyświeca. Nie można wyrość w znakomity czyn bez znakomitego ducha wzrostu, i ten ostatni warunek zawsze pierwszemu przewodzi; krótko mówiąc: słowo staje się ciałem. Każde młode pokolenie — to bogactwo i pełność życia; ten skarb i ozdoba swojej epoki, jest urną, w którą duch

czasu i potrzeb społecznych składa swoje słowo. Przyjąć to słowo z gotowością ofiary, z uczuciem poświęcenia się, przyjąć je ze czcią, w niém się wykształcić, uczuć, zrozumieć i oddać życie swoje, skierować dążność i cele życia: – to znaczy kochać Boga i kraj i ludzkość – i być chrześcianinem – i być synem epoki. Młode pokolenie – to siła i władza; – nie nadużyć, nie skompromitować téj siły, – to jedno, co być wszechstronnie silnym! Każda epoka, każdy czas innego po nas wymagają czynu. Inny rodzaj czynu jest Cyncynnata, inny Piotra Wielkiego, inny Wilhelma Tella, inny Sokratesa i t. p.

Rozwiązanie akcyj dramatycznych sztyletem, trucizną, pojedynkiem, na dzisiejsze czasy są rzeczą zbyt wytchłą. Jordan w pierwszej części patrzał, myślił, cierpiał, mówił; nie był więc zupełnie nieczynnym; – znać, gotował się do czynu. Czyn zaś jego widoczny jest ten, że śród uciskającéj go boleści i szkaradnéj społeczności, uszedł niespodlony i uniósł czystość swojego ducha. Lecz najgłówniejsze źródło zarzutu jest w tytule książki. Gdybyśmy ją nazwali fantazyą niedramatyczną, sámeby przez się zarzuty upadły, lecz bardziéj przez względ dramatyczności samego przedmiotu, niżeli wykończenia, takeśmy ją nazwali.

Osnowa drugiéj części Jordana opiera się na wypadkach domowych, historycznych, ostatnich lat

kilkudziesięciu, o których prawdziwości spółcześni naszej epoki, świadomi naszego domowego życia, sumienne złożą świadectwo, uwalniając autora tej książki od zarzutu sfałszowania prawdy. O ile przedstawione typy są charakterystyczne i prawdopodobne, niech światli rozstrzygną czytelnicy. Nie roszczę sobie żadnej pretensji, ażebym myślącej i szlachetnie czującej u nas liczbie spółobywateli nowe tu powiedział rzeczy. Jeżeli spożywanie eucharystji jest spożywaniem w Bogu, wszelki podział myśli i uczuć u ołtarza dobrych chęci spólnego dobra jest spożywaniem ducha świętego. Jednę, najmniejszą, a niekłamaną zostawuję dla siebie zasługę w dobréj intencji, jaką ma ta książka; — lubo w pewnym względzie sprawiedliwie powiada portugalskie przysłowie, że dobremi intencjami piekło jest brukowane, bo w prawdziwie dobréj i gorącą chęcią uświęconéj intencji musi wyrość uczynek, intencję reprezentujący. Wszakże nie ma reguły bez wyjątku, wyjąwszy bez wątpienia tę, że w znaczeniu moralnem lepsza każda dobra i szczera od złej intencji; lubo w symptomatach wypadków mogą się mieć do siebie w stopniu odwrotnym, — to rzecz już inna. Treścią tej książki są typy szlacheckie i ludowe w stosunku wzajemnym do siebie. Typy na nieszczęście nie wszystkie piękne, lecz i na pięknych nie zbywa podług pojęć o piękności autora. Bez interessu szlachcica i bez

fanatyzmu anarchisty dotknąłem obrazów drażliwych, często bolesnych, lecz zawsze z całą sumiennością prawdziwych. Przedmiot téj książki jest bardzo dramatyczny, lubo jéj nazwać dramatem nie mogę, ani jéj przeznaczałem dla sceny. Wchodzące postacie mówią za wiele ze szkodą akcji. Nieuważam wcale na mogące się powtórzyć pytania: czy autor nie chciał czy nie mógł napisać dramatu; powtórzę raz jeszcze, że są zagadnienia poetyczne, dla których forma dramatu jest ciasna. Zostawiłem dla drugiej części ten sam tytuł co i dla pierwszej, nie przecząc, że stosowniejszy dałby się wymyślić, lecz doprawdy niemam na to czasu i, zapozwany o tytuł książki, z góry ustępuję z placu.

Nie nowy wcale dla mnie będzie nie jeden głos, który mię obwini o wybór przedmiotu, lecz doprawdy z tytułu i urzędu poetów wybór przedmiotu po wszystkie czasy był im pozwolony. Dla zaspokojenia wszakże tych, którzy by mię obwiniać chcieli, z całą grzecznością wszystkich poetów odpowiem: za lat mniej może jak za 50, lud nasz czytać się nauczy; za lat mniej więcej 50 imię chrześciaństwa się uszlachetni; też za lat 50 nie wszyscy pięćdziesięcioletni, dzisiaj nie umiejący czytać i pisać, wpiszą się w metrykę pogrzebową.

Oprócz żywych momentów historycznych tradycja — to jedno z kolosalnych źródeł historji; kolosalny

umysł Niebuhra we dwa tysiące lat z tradycji wysnuł wielką historję Rzymu.

Jeżeli więc napomknąłem o złym stosunku jednego do drugiego stanu, o złych a często zbyt nieszlachetnych nadużyciach klassy społecznie przeważającej; to w imieniu swoich rówienników i spółobywateli spółczujących i myślących ze mną, zapisałem akt protestacji i przyszłym młodszym braciom wyciągnąłem dłoń pojednania i przyjaźni. Pan Bóg raz jeden wszystkich oświeci, odkupi i zbawi; a kto myśli, że prawdę schowa, oszuka się, jak ów zły duch, który sądził, że zagrzebawszy do ziemi garść zboża, głodem zmorzy cały rodzaj ludzki.

Lecz na szczero chciałbym powstać przeciw jednej, a bardzo u nas rozszerzonej zasadzie, która tym prawie brzmi cudzysłowem: „Na co to swoich dotykać wad, na co tak tryumfować nieżyczliwym swojem piórem; wszak wszyscy wiemy, że to jest źle." Lecz zkąd rękojmia, że wiemy? I zwykła ta tyrada kończy się sofistycznym argumentem: „Zły to ptak, co swoje gniazdo brudzi." Lecz dotykać wad, toż przecie oczyszczać gniazdo, nie brudzić; jest to w imieniu swoich spółbraci uderzyć się w piersi, bo każdy pisarz, choćby najmizerniejszy, choćby najmniej obudzający sympatji, jest wyrazem sympatji pewnej liczby spółczujących spółwyznawców tej samej zasady, jak najniedorzeczniejszy śród sejmu deputowany jest przecie

reprezentantem pewnéj massy niedorzeczności i przeciwnie. – Za cóżby, proszę, przyjęta i uświęcona zasada w religji i etyce: że przyznanie się do winy jest już krokiem postępu na dobréj drodze, miała w rozleglejszém znaczeniu tracić swoję świętą wartość? Wszakże każdy, co się do winy nie poczuwa, obrażonym być nie może; gdy zaś winien, a przyznać się nie chce, jest nieszlachetnym. Przecież są winy całych pokoleń, jak indywiduów; do całych więc pokoleń należy zmyć historyczne winy. Drażliwość zaś na tryumf nieprzyjacioł z wad naszych, w stosunku do obojętności na wady sztuki, doprawdy jest śmiertelną drażliwością dla dobréj opinji, przypominającą jednego z dworaków francuskich, którego, prawie umierającego, gdy król przyszedł odwiedzić, prosił króla, gdy chwila konania w obecności królewskiéj nastąpi, ażeby król był łaskaw nie być o nim złéj opinji, gdy on konając będzie robił nieprzyjemne miny. Byłoż godnie, myśleć wtenczas tak pocieszenie, gdy o Panu Bogu raczéj myśleć potrzeba było? Lecz nieraz dziwnie ściera się drażliwość sumienia na odbiciu duchowéj strony człowieka, jak żywe srebro ze zwierciadła. Tak nieraz ściera się w społeczeństwach całych warstw sumienie, i wtenczas umrzeć jest jedyną zasługą; – i to jest wielkość prawdziwa śmierci! Cześć umarłych jest też obowiązkiem chrześciańskim, jak chrzcić nowonarodzonych! Czasy panegiryków

przeminęły; powtórzym wielkie słowa Szyllera: die Weltgeschichte ist das Weltgericht.

Jordan w drugiej części jest to ten sam Jordan co i w części pierwszej; tam on był w stanie przejścia z życia kontemplacyjnego do życia czynnego, to jest: był na dzisiaj człowiekiem czynu. Może fizjonomja moralna zdziwi nie jednego z Czytelników i Czytelniczek. Ten umysł poetyczny „l'esprit romanesque" schodzi do sfery życia dotykalnego. Może lepsze miano o nim nadzieje, o przyszłości jego ognistej duszy; może się spodziewano go widzieć bardziej ekscentrycznym, z innemi cierniami na skroniach. To nie jego wina. Autor chce go mieć dzieckiem dzisiejszej epoki, w sferze domowego życia, które przynajmniej na dzisiaj jedyne jemu zostało. W dzisiejszej świtającej epoce, podług pojęć autora, każda wielkość ekscentryczna bardzo maleje. Imiona wielkich bohatyrów i wodzów, ich rozgłośność była najczęściej tylko stygmatem nagromadzonej siły materjalnej, a reprezentowanej tylko w jednostce, co ją tak zadziwiająco wielką czyniło! Istotnie była to wielkość swojego czasu! Ażeby być wielkim, potrzeba być silnym — na dzisiaj; — ażeby być wielkim, potrzeba być cnotliwym. Cnota, a wielkość, — to jedno.

To, co się nazywa w historji perjodem, epoką, jest niczém innem, jak zwrotem historycznego koryta, zwrotem w najogólniejszém znaczeniu wyrazu — wiedzy, dążącej do zrealizowania się do przejścia w życie.

Próżno się kusił rozum ludzki od wieków odległych starożytności aż do naszych czasów utworzyć formułę, wymodelować stosunki społeczne ludów, zbić miljony i różnorodność indywidualnych interessów i sposobem zlać w jedną harmonję, wynaleźć, że tak powiem, społeczny djapazon, podług którego by wszystkie tony ludowych stosunków nastroić się dały. Utopje Platona, Morusa, Kampanelli, Harringtona, ani potworne Münzera zasady, ani Owena antiobyczajowe żądania, ani złotego wieku Towersa sielanki, ani żadnego z najnowszych socjalistów marzenia nie znalazły powszechnego odgłosu, nie mogły wejść w życie. Żadna albowiem teorja nie tworzy życia, lecz jest życia wypadkiem; żadne społeczeństwo w sposób konwencjonalny utworzyć się nie daje, lub się rozprządz musi. Jedna jest utopja, że tak sobie w stosunku do życia ludów nazwać pozwolę — Ewangielja. Lecz najpierwsza jej zasada dotąd w życie ludów wcieloną nie była.

Że udoskonalenie się duchowe podług zasad chrystyanizmu jest rzeczą dla ludzi dostępną, przekonywają nas żywoty Świętych i tych ludzi niezmiernych dla ludzkości zasług, którzy swoją zdumiewali cnotą, którym hołdy czci i wdzięczności spółczesne i następne oddały pokolenia. Lecz żadnego dotąd historja świętego nie przekazała narodu, żadnego chrześcijańskiego w prawdziwem znaczeniu tego słowa. Goethe w jednem dziele swojem i Wilhelm Meisters Lehrjahre wypowie-

dział swą wiarę, że idea chrześciańska dla swojéj wysokości jest tylko własnością moralną niektórych indywiduów, że się w massy nigdy wcielić nie zdoła; więc jest jakby utopją moralną, i codziennie te zdania spotykamy, że już pominę nawet zaprzeczenia i indywidualnéj człowieka świętości, chrystusowego braterstwa. Nasza wiara w tym względzie jest różna. Wierzę z Świętym Janem w nowe Jeruzalem; wierzę, że Zbawiciel Świata nie przyszedł tylko zbawić, podnieść i uświęcić pojedyńczych, lecz świat cały. Samą konsekwencją myślenia zbija się zasada tego monopolium. Gdyby chcieć tego dowodzić analitycznie, potrzeba by przebiedz całą historję kultury, szczególniéj z wyłącznym poglądem na postęp udoskonalenia się społeczeństw, że tak powiem, statystyki moralnéj, jakby sprawozdania konfessjonału. Wszakże to jest niezmiernie pocieszające i dowodzi dążność ku uświęceniu się narodów, że powszechną się staje wiara wszystkich ludów, że religja i narodowość są nierozdzielne, że stanowią jedno, że narodowość jest niczém inném, jak tylko tym świętym uczynkiem wielomiljonowego, zbiorowego człowieka, — uczynkiem, bez którego wiara, jak powiedziano, jest martwa. Gdyby, pomijając inne, ten jeden był tylko dowód, — byłby to dowód niezmiernie wielki, że już w massach poczyna się objawiać dążność zbiorowej, narodowéj świętości, bo myśl zawsze przed uczynkiem iść musi.

Porównajmy przed laty życie wielu europejskich

narodów; na zewnątrz ich zbiorową miłość bliźniego, ich wojny, a zaledwo nie widziemy sankcjonowanych narodowością rozbojów; a w domowem ich życiu małą liczbę wybraną, nazwaną oświeconą, i kastą, która dzierżąc niby talizman światła, broni do niego przystępu ludowi, robiąc braci swojem narzędziem, niby surrogatem swego życia moralnego, które zwierzęciało zmysłowością.

To, co historja powiada o śmierci narodów, jest w ścisłem znaczeniu niczem innem, tylko wypadkiem rządzącej kasty. Narody, jak ludzkość, są nieśmiertelne aż do samego końca świata. Lecz zobojętniony, lub przeciwny stosunek dążności mass do kasty, odbierając massom ducha, (siłę wszechmocną narodu) robi ją siły innej materjalnej, czy moralnej zwolennikiem, lub ofiarą. Zaniedbani i wzgardzeni: w Grecji heloci, w Rzymie plebejusze, składają na ołtarzu historji wymowne świadectwa! Zgnębiony we Francji lud straszną katastrofą 1789 r. podnosi sztandar przyszłości, okropny wówczas, lecz wielki ze względu skutków.

Lud nasz ma bardzo wiele wad obyczajowych, które ciemnotą, nędzą i brakiem, lub zbyt złą opieką nad nim, że pominę częstokroć wpływem zgorszenia z góry, tłumaczyć się dają; lecz jest w nim pierwotne, głębokie, świetne moralności ziarno, którego nawet najsmutniejsze jego położenie wyplenić nie zdołało, — i to jest własność typowa jego ducha.

Tu ważne następuje pytanie: czy wielowiekowy brak reakcji na zewnątrz dla niewygodnego położenia jest

w nim skutkiem podłości dojrzałego niewolnika, — czy pierwiastkiem religijnej rezygnacji żywionej w Bogu nadzieją. Niech kto mówi co chce; ja jestem ostatniego zdania. Dosyć by na to krótkiego poglądu, aby się o tém przekonać. Wyjąwszy symptomata przebudzeń się ogólniejszych w katastrofach Humańskiej i Galicyjskiej, wszakże nie bezpośrednio z ducha jego porodzonych, — widzieliśmy i widziemy prawie co rok w jakichkolwiek z prowincyj naszych zapisane krwią protestacje przeciw ich obecnemu położeniu. Zabójstwa tego rodzaju żadną miarą za prostą zbrodnię zabójstwa w znaczeniu moralném uważać niemożna, — było to zawsze, jakby zbrodnia stanu. Pojawiające się takie wypadki, lubo zbyt nieliczne w miarę poczutej potrzeby reakcji, dowodzą z jednej strony téj religijnej rezygnacji i nadziei, o której wspomniałem, z drugiej strony niezatartego poczucia godności osobistej.

Co stanowiło trudność niezwyczajną téj książki, mającej pójść przed oczy i sąd publiczny; to obrazy z życia ludowego, ze sfery ich uczucia, któremu się nie zwykło przypatrywać, a stokroć było wygodniéj zaprzeczać go zawsze. A przecież doprawdy nie grzech było pomyślić, że ten lud chrześciański, który codziennie kładzie znak krzyża na piersi swoje, który przynajmniej dwa razy w życiu i z królewskiemi równa się dziećmi; u chrztu i pogrzebu obrzędów, któremu pozwolono kochać i nosić Boga w sercu, któremu pozwolono codzień, a codzień płakać, — codzień, a codzień cierpieć; — doprawdy możeby grzech było odmówić jemu wszelkiego uczucia. —

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Scena pierwsza.

Dom wiejski Jordana, leśna piękna okolica, u stóp domu mała rzeczka; z jednéj strony las; z drugiéj widok gór i płaszczyzn; w mieszkaniu dobry gust, czystość i prostota, na ścianach historyczne obrazy obywateli i bohatyrów; na stole dziennik podróży.

Jordan.

O! jak myśl młoda za dom się wyrywa,
By poznać głośne obcych krajów cuda!
Pragnie w ramiona objąć wielkoluda,
Ujrzeć, jak Pan Bóg w narodach przeżywa!
I jak narody żyją w Stworzycielu;
I jako z wieży podniebnej Babelu
Idą mozolnie każdy zgłoskę złożyć
Na słowo wieku, ażeby w niem ożyć —

I złać się z sobą świętą spójnią ducha
Tam, gdzie się wszyscy rozumieją w Bogu!
. . . .
Szczęśliwe sny me!
Gdym stanął dziś w progu
Rodzinnej ziemi, na dziedzinie Piasta,
Obiegłszy obce i zamki i sioła,
Widziałem ludów krwawy pot ich czoła,
Którym panuje pasożytna kasta!
Widziałem mgliste kraje Albionu,
Kraj głośny z kupców, warsztatów, pieniędzy
I z praw wolności, — bo pozwala skonu
Każdemu z ziomków, kto umiera z nędzy.

Widziałem świętą krainę Ausonów,
Gdzie Diogena kubkiem ostrz sztyletu;
W siedzibie wiary taki owoc plonów
Z życia i śmierci dziecka Nazaretu.

Widziałem różne germańskie odłamki,
Kraj filozofów, mądrości, nauki,
Którą przed ludem schował w formuł zamki,
A sam w niewoli rozdarty na sztuki.
Na sto rygli zamknęli prawdy okruszynę,
Mądrością brylantową zasłonili Nieba,
Lud prosi, woła duchowego chleba,
A oni z formuł dają mu łupinę.

Kraj Sekwańskiego widziałem olbrzyma;
Bogaty w myśli i potężne czyny;
Zaklętą wielkość w słów szermierstwie trzyma:
Czyż z marnych dźwięków odkwitną wawrzyny?

I widzę znowu nieszczęśliwą ziemię,
Której bądź ginie z moralnego głodu,
Kędy myśl święta uwięziona drzemie
W palmie męczeńskiej narodu;
I kędy swoi nie pojmują siebie,
Ni Boga w piersi, ni w dziejach, ni w Niebie!

Czyż wszystko znikło, czyż w ducha rozwiciu
Błysł anioł śmierci i powiedział życiu:
„Przepadnij marnie życie upodlone."
O duchu dziejów, daj przedrzeć zasłonę,
Niechaj pochodnia nas twoja oświeci,
Byśmy szli w wieki, jak przyszłości dzieci!

. . . .

O duchu dziejów! ty, jak matka czuła,
Uczysz swe dzieci narodowej cnoty,
I coś w ich piersi ty, matko, zasnuła,
Nie wydrą gromy, ni losów sromoty!
Bo wiekuiste, jak świętość bezdeności
Przetrwać będzie to, w piersi głębinie!
Los może zniszczyć twe ziemie, świątynie,
Lecz twoich zniszczyć nie zdoła świętości.

O duchu dziejów! błagam cię ze łzami,
Promień światłości swéj rozlej nad nami!

Duch.

w uroczystéj szkarłatnéj szacie, w koronie królewskiéj oplecionéj taśmami kory lipowego drzewa.

. . . .

Pasmo dziejów – to Boga słoneczne przędziwo,
Nieraz ich blaski zamglone pochmurnie,
Ale w piersi wybranych ich świętość przeżywa
Jako świętość prochów w urnie!

Tyś to odgadł – i znamiona
Bożéj myśli nie zamierzchną,
W głębi twego ludu tona,
Bom ja jego władzą zwierzchną!
A to wszystko, co nanosi
Ludów dziejom zawierucha:
Ból, męczeństwo, to podnosi
Urodzone dziécie z ducha.
A ciemnoty ząb padalczy
Jasny słońca grot przesiła,
Jest narodom, jak dnia chwila,
W któréj światło swe wywalczy.

Gdy lud ducha światła wola,
W pierś swą przyjmie, wcieli w życie,
Na pojęcia stanie szczycie,
By z pochodnią Archanioła!
Kto mą świętą myśl uczuje,
Kto myśl ludu upiastuje
Pośród domu, sioła, miasta,
Na wzór króla - chłopa Piasta;
Kto się z duchem ludu stopi,
Przejrzy dziejów w nim koleje;
Po królewsku kto się schłopi
I po chłopsku skrólewszczeje,
Jak ów Piast, że aż anieli
Z niebios szczytów przylecieli,
By go uczcić i namaścić:
Tak ty, ludu mój, dąż spiaścieć!

. . . . . .

. . . . . .

Kto dziejową pieśń podsłucha
I w lud swego ducha wcieli,
W siebie weźmie duch ludowy,
Kto w lud złoży swe nadzieje,
Kto po chłopsku skrólewszczeje
I rozpocznie żywot nowy;
Życie swoje walką zrobi
Swoich - bratnich ułomności,
Ten się tylko przysposobi

6.

Wejść do kościoła przyszłości!

O! cel wielki, — a podnieta
Niewidzialna, za daleka
Oczom ciemnym, oczom kreta
I strąconego człowieka!

To wybranych naszych praca,
Wy samotni dziś śród tłumu,
Który bluźni bez rozumu
Temu, czego nie rozmaca!
Co przechodzi zmysłów chcenie,
Nie pojmuje człowiek zwierzę;
W jednej tylko silnej wierze
Widzi własne poniżenie.
Ludzie zmysłów i monety,
Z słowiczemi nieraz słowy,
To już wymiot narodowy!
Przedzierzgnieni bracia w krety!
Wy wylejcie łzy nad niemi,
Jak nad temi strąconemi
Aniołami z wysokości!
Ach! to biedne dzieci rodu!
Nie szukajcie w nich miłości
Ni bliźniego, ni narodu;
Ani chciejcie ich przetworzyć,
Bo trud taki pracą marną.

Pielęgnujcie nowe ziarno,
Co ma w nowej wiośnie ożyć!
Co ożyje, — wam nie skłamie,
Bo myśl z ducha zrodzi szczera,
Inne dzisiaj ducha znamię,
Inne godło bohatera.
Duch mu święty będzie matką,
A lud cały jego składką;
On z znamieniem tej przyszłości
W urnę wieków szczęścia złoży,
Będzie słowem społeczności,
Sługa braci, sługa boży!
Z poświęconym ogniem w łonie
Rozetli w tchnieniach dziejowych
Żyć potęgę miljonowych.
Wszystko wielkie schwyta w dłonie,
Wszystko święte świętem chceniem
Weźmie w siebie, w siebie wcieli,
W byt miljonów się zestrzeli
Namaszczonej piersi tchnieniem;
I tak wszystko małe zmoci,
Zgaśnie ziemski człowiek-zwierzę,
A cztek boży się ocuci,
Nieba i ziemi przymierze!

W niebo ślejcie swe wołanie,
Z głębi serca krzyczcie, proście,

Z dziś ofiarę, w jutro znoście,
A on taki śród was stanie.

z korony swojéj zostawuje taśmę
lipowéj kory i znika.

Jordan.

w najwyższém wzruszeniu
padając na kolana.

O duchu dziejów! Ty światłości Boża,
Co losy ludzi i narodów przędziesz,
Gdy ty swém światłem iść przed nami będziesz,
Widoma szczęścia rozświetli się zorza.
O duchu święty! w sercu braci ożyj,
O serce! ożyj w świetlaności ducha,
Związ dziejowego ogniwa łańcucha,
Jako dwóch wschodnich i zachodnich zorzy.
Z wschodu na zachód, i na wschód z zachodu
Obejmij ludy w zorzy swéj światłości,
Naucz czcić świętość każdego narodu,
A naucz wszystkie świętości!
O duchu święty! ucz życie me całe,
Ucz mię i prowadź w każdéj życia dobie;
Daj mi za pomnik i za całą chwałę,
Jedną wdzięczności łzę ludu na grobie.

Scena druga.

Wieśniacy wolni, niegdyś poddani rodziców Jordana i poddani z sąsiednich wsi, przed domem Jordana.

1.

Zajdziemy wszyscy do pana Jordana,
Jużeśmy wszystkie skończyli roboty;
Człowiek do pracy nabiera ochoty,
Kiedy pracuje dla dobrego pana.

2.

Lecz dziś od niego nic przyjmiemy płacy.

3.

Gdybyż się zgodził! prosiliśmy nieraz,
On mówi: dobrze, innym razem, – teraz
Przyjmijcie bracia. I najmniejszej pracy,
Która niewarta grosza złamanego,
Nie przyjmie, mówiąc: ja od was bogatszy.

4.

Ani on kiedy za robotą patrzy;
Prawda: pracujesz pilniej, niż dla siebie;
Bo trzebaż bardzo już sumienia złego.
Czyś w jakiej biédzie, czy w jakiej potrzebie,
Idziesz do niego, – on zawsze wspomoże.

5.

Przedłuż nam życie i daj szczęście, Boże!

6.

My, z dawna jego poddani pradziadów;
Różnie bywało, – jak zwyczajnie w świecie:
Nieraz, pamiętam, on, maleńkie dziecię,
Pełno owoców pozrywawszy z sadów,
Obdzielał w wiosce rówienniki swoje;
Lub przebiegając dworowe zagony,
Nieraz przy pracy zatrzymał się polnéj,
Nieraz się z dziatwą połączył u bramy;
Załował małych, że już takie znoje
Muszą odbywać, a on taki wolny,
Taki szczęśliwy, a ich ciśnie nędza.
Zdało się, słyszysz maleńkiego księdza,
Kiedy on prawił: „ Niech no ja wyrosnę,

To wy tak wolni, jak i ja, będziecie."
Dzieci do domu wracały radośne.
Starce mówili: że, – ot – dziecko plecie.
Ai oto, patrzcie, po śmierci rodzica
Zwołał nas starszych, rówieśników swoich:
O przyrzeczeniach, pomnicie, rzekł, moich?
Nikt ani myślił, dzieci zapomnieli
O słowach dziecka – dziś w obec dziedzica; –
A on tak jasny, jak w niebie anieli,
Mówił nam długo, – taka mowa święta,
By mowa z nieba, – człek to nie spamięta; –
A kiedy słuchał, to – że sen, się zdało,
A każde słowo tak na sercu grało,
Bo wierzył święcie świętych słów głosowi
I rośmy czuli, że pan prawdę mówi.
I rozdarował nam na własność ziemię,
I rzekł: „chcę w każdym z was widzieć dziedzica;
A z resztą tylko ta w ludziach różnica,
Kto poczciwością swe życie upiększy:
Ten bardziej szlachcic, – bogatszy i większy.
Nie macie żadnych od dziś obowiązków,
Oprócz przyjaźni i miłości związków –
I tém się jednym chciałbym wam zadłużyć.

7.

Za tyle dobra chciałby człek odsłużyć,

Choćby czém małém dowodzić wdzięczności.
On jedno zawsze: chce waszej miłości,
Chcę szczęście wasze widzieć w waszej chacie
I w życia prawdzie; — za tysiącowe krocie,
Za świata skarby, za nagrodę trudu
Byłoby dla mnie szczęście mego ludu.

8.

A nie chce przyjąć najmniejszej usługi.

9.

Cudem na świecie byłby taki drugi.

Scena trzecia.

Wielka sala w domu Jordana; stół wielki pośrodku, w około stoją ławy, na ścianach różne portrety.

Jordan i Ciż Sami.

Dziękuję, bracia, całem sercem szczerze
Za szczérą pracę, — teraz ma powinność

dobywa pieniędzy dla opłacenia roboty.

Niech z was swą każdy należność odbierze.

Kilka głosów razem.

Nie przyjmiem płacy, — dzisiejszą uczynność
Racz przyjąć od nas jako dług wdzięczności,
Którąśmy tobie wypłacić nie w stanie,
Przyjm naszę prośbę i nie odmów, panie.

Jordan.

Bądźcież mi gośćmi; — odmówić dla gości
Możeż gospodarz w znanej z gościnności
Od wieków Polsce?

Jeden z Wieśniaków.

Na cóż, panie, na co?
Pańska gościnność będzie dla nas płacą;
Wszakże od pana zawsze tyle mamy,
W potrzebie idziem jak do swojej bramy,
Jak pan, — drugiego niema w całym świecie

Jordan.

Są, moi bracia, tylko wy nie wiecie,
Są, bracia, lepsi; wy, prócz swoich panów
I tych, co blisko tu żyją, do koła,
Nie znacie innych; — są nakształt szatanów,
Lecz są i tacy, co warci anioła,
Że wieczną wdzięczność lud im w sercach czuje.

Drugi z Wieśniaków.

To chyba w książkach o nich opisuje?

Jordan.

Piszą i w książkach, jak się nauczycie
Czytać, to wtenczas poznacie, kochani,
Że gdzieś daleko jakiś pan czy pani
Lud, jak swe dzieci, szczerze pokochali,
Żyli jak z bracią, — i Boga się bali.

wskazując na jeden z portretów zawieszonych na ścianie.

Oto widzicie te sędziwe lica,
Gdzie chrześciańskiej świeci blask pokory,
To jest szlachetna twarz księdza Staszica,

Którego żywot bogaty w cnót wzory.
I dał mu Pan Bóg święty dar mądrości,
Który on święcie pielęgnował w cnocie;
I niezmożony w poczciwej robocie
Wiecznej się ludu doskarbił wdzięczności,
Którą mu wiernie pamięć wieków schowa!
On, gardząc zbytkiem, za którym tłum goni,
Poczciwej pracy grosz w poczciwej dłoni
Zebrał i kupił dobra Hrubieszowa:
Spikłos, Czerniczyn, Bohorodyca
I Jarosławiec i Poberezany,
Równie Basieniec i Putniowa łany
W nim powitały swojego dziedzica.
Lecz nie dla tego, by w gnuśnym spoczynku
Miał nędznie zjadać owoc swego trudu;
W zaprzania siebie najświętszym uczynku
Wszystkie te ziemie darował dla ludu,
Robiąc każdego Dziedzicem na zawsze,
A potwierdzenie daru najłaskawsze
Dał Cesarz Aleksander.

A ten pan drugi zacnego oblicza,
To jest szlachetna postać Chreptowicza,
Który się wyrzekł zbytecznego zysku
I lud od nędzy chronił i ucisku.
Za to lud ojcem swoim go nazywał,
Czcił go za życia i śmierć opłakiwał.

Ten portret – to Moniuszki Dominika,
Stryj Stanisława, – wielkiego muzyka,
Co swemi pieśńmi budzi ze snu dzieje,
Słodzi obecność i żywi nadzieje...
Którego pieśni wy dotąd nie znacie,
A kiedyś będą śpiewać w każdej chacie.
Ten pan Dominik – bardzo pan kochany,
Był całą duszą dla ludu oddany.
To, com rzekł, stwierdzi wielu świadków żywych:
I wielu innych jest panów poczciwych
I było wielu; – innym razem wiernie
Opowiem, bracia, wam o nich obszernie.

Jeden z Wieśniaków.

My, panie! nigdy o tém nie słyszeli,
By gdzie panowie tacy dobrzy byli,
Prócz pana. – Wszędzie słychać od niedzieli
Wciąż do niedzieli pędzą, – ani chwili,
Ni wypoczynku ni czasu dla siebie.

Drugi ze wsi sąsiedniéj Poddany.

Może to, panie! jest boskie zrządzenie,
By chłop był w wiecznej biedzie i potrzebie
I żeby zawsze został pańskim sługą,
Bo tak, jak mówią, strasznie, panie, długo,

Jak chłop jest chłopem – i mówią tak wszędzie
Bywało, panie, i zawsze tak będzie.

Jordan.

Wieście słyszeli – i źle tak myślicie,
A za złą myślą pójdzie i zła mowa,
W złej mowie zły się uczynek wychowa. –
Ja was tak kocham, – wszak temu wierzycie!

Wiele głosów razem.

Ach, wierzym, niech nam tak Pan Bóg da życie;
Nam takie święte każde pańskie słowo,
Że my gotowi choć założyć głową.

Jordan.

Otóż, słuchajcie, ja wam mówię święcie:
Jedno jest z Boga –. człowieka poczęcie.
I jedna równość, jako jedna dusza;
Ale zepsucie tę równość narusza.
I wtenczas w podłość niewola się wciela!
Jeszcze przed przyjściem na świat Zbawiciela,
Ludzie się z sobą złością poróżnili;
Ci, co silniejsi, ci słabszych pobili
I przemienili ich w swoich poddanych;

I tak przywykli do swych praw mniemanych,
Że im się zdało, że to inni ludzie
I że powinni w ustawicznym trudzie
Pracować dla nich, by zrodzeni sługy;
I źle tak było, — lecz jedni i drudzy
Byli źli równie, bo gdyby pobili
Ci, co pobici, toby tak zrobili
Jak tamci, — nawet może jeszcze gorzej,
Bo ludzie woli wyrzekli się bożej.
I żyli z sobą jak dzikie zwierzęta
I jedni drugim nakładali pęta.
I tak bywało, gdy w złości przebrali
Zwycięzcy, jutro w niewoli zostali.
I tak przywykli wzajem gnębić siebie,
Że im się zdało, że Bóg tak chce w niebie.
I kiedy Pan Bóg z niezmiernej miłości
Zesłał w świat Syna, by ludzie ożyli
W cnocie i prawdzie, — to oni w swej złości
Nawet i Syna Bożego zabili.
Zabili Zbawcę, lecz świata zbawienia
Zabić nie mogli, — bo Bóg litościwy.
Oto Zbawiciel zmartwychwstaje żywy
Na wysokościach i głębiach sumienia. —
Ziemi zostawił naukę, przykłady,
A w niebie przystań dla prześladowanych.
Kogóż on wezwał do swojej biesiady?
Nie głowy panów, nie koronowanych,

Ale was wezwał, was, braci śród ludu,
Braci rolników, rybaków i cieśli;
I was nauczył świętości i cudu,
I wyście jego naukę roznieśli
I was najmniejszych podniósł on wysoko.
Swego kościoła wybrał na kapłanów,
Nie mędrców świata, ale proste chłopy
Podniósł nad wszystkich i pod wasze stopy
Zgiął karki wszystkich i książąt i panów.
Cieślów, rybaków i chłopów w korony
Ubrał — i nieba otworzył im wrota.
Króle i pany biją im pokłony, —
O! bo w ich sercu był Pan Bóg i cnota.
O! i wy bracia, wy bracia rodzeni
Owych wybranych rybaków i cieśli,
Gdybyście serca do Boga podnieśli,
Tobyście byli, jak oni, wzniesieni!

. . . .

O, wierzcie, bracia, ja wam mówię święcie,
Że idzie chwila wielkiego zbawienia;
I dziś to tylko, co boskie poczęcie,
Co żywi w sobie głos boży zbawienia,
To tylko jedno Bogu się spodoba,
A inne zniszczy głód, mór i choroba!
Albo się zjedzą, jako psy szalone,
Lub ludzie wściekli porzną się i zduszą;
A to przy Bogu będzie ocalone,

BIBLIOTH. UNIV. JAGELLONICAE

Co z czystém sercem i co z czystą duszą.

Wiele głosów razem.

O! święte słowa!

Jeden z Wieśniaków.

Nigdy nie słyszeli.

Drugi z Wieśniaków.

Gdy prawdę słyszysz, to się duch weseli.

Trzeci z Wieśniaków.

Zda się, że człowiek rodzi się na nowo,
Kiedy posłyszy święte prawdy słowo.

zasiadają do stołu.

Koniec Prologu i Części pierwszéj.

[library stamp]

CZĘŚĆ DRUGA.

Scena pierwsza.

Okolica litewska nad rzeczką, śród równin i wzgórków ocienionych małemi gaikami. Nad rzeką młyn, tuż chata młynarza, Młynarz Sosnowski, jego żona i córka, poddani pana Wodzicza. Dzień świąteczny i piękny.

Córka!

w świątecznêm ubraniu, w białéj perkalowéj koszuli, kilka sznureczków paciorków na szyi, w różowym gorseciku; postać ładna i kształtna. Przechadza się po nad brzegiem rzeczki.

Jak pięknie, mile świeci słoneczko!
Takie promyczki, jak złoto,
Rzuca do rzeczki; — gdzie bieżysz rzeczko?
Gdzie bieżysz z taką ochotą?

Jakbyś porzucić nas chciała.
Czy ci źle w naszej dolinie?
Nie słucha rzeczka i płynie,
Jak by porzucić nas chciała!

usiada nad brzegiem rzeczki i zamyśla się.

Wszystko w świętej boskiej mocy,
Dziwny mój sen był tej nocy:
Zda się, zbierałam jagody,
A taki upał był wielki,
Nigdzie rosy ni kropelki,
Aż mój luby kubek wody,
Kubek szklanny, przezroczysty
Przyniósł dla mnie wody czystej.

I dziś rano, kiedy wstałam,
Jakoś w duszy było miło,
Kiedy matce powiedziałam,
Co się mnie tej nocy śniło;
Matka błaska w dłonie rada:
„Ten sen twój ślub zapowiada
Z twoim lubym, - wierz mi, pewnie."
I tuliła mię tak rzewnie,
Całowała i ściskała,
Aż się biedna rozpłakała.
I to mówią, będzie wszyscy,

Ludzie obcy, krewni, bliżcy,
Że niema jemu równego
Na około tu drugiego.
Ale przytem, jak mię kocha!
Ach, jak wiernie i jak szczerze;
Lecz nic więcej, nic, — nie wierzę,
Nie — nic więcej, — ani trocha. —

wpatrując się w rzeczułkę.

Jak gra słońce nad rzeczułką!
O! rybka w wodzie plusnęła!
Ach, ach! ostróżnie, jaskółko,
Żebyś ty nie utonęła!

Chata młynarza, gdzie widać czystość i porządek.

Młynarz i jego Żona.

Sosnowska.

Trzeba nam prędko pomyśleć o Zosi; —
Jeszcze nie stara, ale przed dojrzeniem
Żeby nie zwiędła; — na złe się zanosi,
O! bo się z pana spotkała spojrzeniem.
U nas od dziadów Pan Bóg mieszkał w chacie,
Nie było nigdy żadnego zgorszenia;

Ale w wsiach naszych z pańskiego spojrzenia
Nie jedna płacze po swej córki stracie;
Bo gdzie pan spojrzy, to tam jak zaraza
Idzie grzech ciężki i Boga obraża.
Pan daje posag i za mąż iść każe,
Tyleż z posagu i zamęzcia tego!

Sosnowski

Zbyt łaski pańskiej; — o! w takiej jej parze
Nie szukaj szczęścia, nie szukaj dobrego.

z wzruszeniem.

Znosi nędzę, myślisz, ja chłop, cierpieć muszę;
Ale chcieć odrzeć i z świętości duszę, —
I tobyż znosić?

ze smutkiem.

Chyba Bóg przebije,
Czy Boga jeszcze chłop w swej piersi czuje.

z wzrastającem wzruszeniem.

Czyż chłop złym, podłym być musi koniecznie?
A czyż złych nie ma pomiędzy panami?
Niech Bóg rozsądzi; — bo ich płacze odwiecznie
I kto zgorszenie wzrasta nad nami.
Wszak wszystko pańskie: ja, dzieci, ty, mienie,
Ale nie pańska dusza i sumienie!
A któż przed Bogiem odpowie za dzieci?
Ach! dzieci!

zatrzymuje się z giestem boleści.

Sosnowska.

Mężu! co tobie?

Sosnowski.

Rok trzeci

Tomu, pamiętasz, gdy wzięli nam syna,
Podpora nasza, pociecha jedyna!
Chłop ma pieniądze, ciągle Łaniec wołał;
„Weź Łaniec, — tylko by dziecię zostało."
Wszystko, co człowiek od pradziadów chował,
Oddał Łańcowi, — jeszcze było mało.
Chłop ma pieniądze, — wziął syna w rekruty;
Nie było czem wykupić, — jak otruty
Chodził całek; myślił: dziej się boża wola!
Teraz pociecha starości jedyna,

Zosia wchodzi.

To dziecię nasze — i jąż by swawola
Pańska zjeść miała, tak jak zjadła syna?
Łaniec zła dusza — i chciwość nikczemna;
Miałaż by ona, — ale nie, — daremna ....
Mam jeszcze okup, jeszcze się okupię
Mej duszy potępieniem. — I po trupie
Moim chyba .... o! — tak — może i sami

Nim dzieci zjedzą, zostaną trupami.

Zosia.

zbliżając się i ściskając ojca.

Przysięgam, ojcze, nic mi się nie stanie,
O! bądź spokojny!

Sosnowska.

Boskie zmiłowanie
Będzie nad nami; — Jego ręka święta
Nad swemi dziećmi i o nas pamięta.

Sosnowski.

Tylko Bóg wspiera i czyste sumienie!
ze znaczącym gestem.
O! nie wódz, Panie, nas na pokuszenie!

Scena druga.

Przed chatą Lewińskiego.

Zubczyński — Lewiński poddani. —
Chodkiewicz żołnierz dymissjonowany.

Wszyscy trzej z wsi pana Knipprucia.
Zubczyński i Chodkiewicz
swatowie.

Lewiński.

z niecierpliwością.

Kiedy odmówi, to do życia końca
Nie pomyślę o żadnej

Zubczyński.

Bądź spokojny.

Chodkiewicz.

Nie dziw; i żołnierz, co przeszedł do wojny,
Przy swojej żabej zmienia się w zająca;
To już tak w serca coś natura dała!
Całek, co się nie bał iść do Jenerała,
Jak przyszło w swaty do swojej niebogi,
Tak stchórzył, aż wstyd, — i chciał drapnąć w nogi;
Ale jedź razem.

Lewiński.

Nie, — ja nie pojadę.

Chodkiewicz.

Że będzie twoja, ja głowę swą kładę.

Zubczyński.

Z bozą pomocą wzejdzie, co zasiano.

Lewińska stara.

Proszę do chaty.

Chodkiewicz

Już matko nie rano;
Wnet z dobrą wieścią staniem przed twym progiem.

Lewiński.

Więc bądźcie zdrowi.

Lewińska.

Jedźcie z Panem Bogiem.

Zubczyński i Chodkiewicz odchodzą.

Lewiński.

Oni bogatsi, – może i daremnie
Szłem ludzi w swaty, – ale nikt nademnie
Ani jéj kocha ani kochać będzie.
Czy to ja w chacie, na łące, czy w polu,
Czy to we dworze, czy na swojéj grzędzie,
Myśl jéj się pozbyć nie może, jak w bolu.

chwila milczenia.

Lewińska.

Człowiek swą myślą nic nie przeinaczy,
Będziesz mój synu, tak jak Bóg przeznaczy;
Tak mówią starzy, że i śmierć i żona
Wszystkim od Boga bywa przeznaczona.

Lewiński.

postrzegając zbliżającego się podróżnego wieśniaka.

Jakiś podróżny, snadź z drogi dalekiéj,
Idzie do naszej chaty.

Podróżny.

Pochwalony
Niech będzie Jezus Chrystus!

Lewiński.

Na wieki!

Podróżny.

Wybaczcie, jestem podróżny, zmęczony,
Pozwólcie chwilkę odpocząć w swej chacie.

Lewińska.

Bardzo prosiemy.

Lewiński.

Z daleka wracacie?

Podróżny.

Wracam z Królewca, drzewosiny spławiali;
Moi znajomi po drodze zostali,
A ja sam jeden powracam do domu.

Lewińska
podnosząc jedzenie podróżnemu.

Czém bogaci, tém radzi.

Podróżny.

Nie zaszkodzi
Po drodze, matko! – Niechaj Bóg nagrodzi.

Lewiński.

I cóż za morzem słychać tam dobrego?

Podróżny.

jedząc powoli, z przestankami.

Ej! wiele rzeczy i jakaś przemiana
Musi koniecznie nastąpić na świecie.

Lewiński.

Czy wojna będzie?

Podróżny.

Jeszcze coś lepszego:
Słyszę, na świecie nie będzie już pana;
Raz jeden ludzie zbudzili się przecie!
. . . .

Lewiński.
przerażony.

Jakto?

Podróżny.

Po prostu: – chłopi nie panowie,
Co radzą, krzyczą, potém jakieś zdrowie
Piją; – widziałem, tam po prostu było:
Jak panowanie bardzo się sprzykrzyło,
Sprzykrzył lud, jak psu być ciągle w obróży,
Bo tam podobno jeszcze było gorzej;
(Nie wiem, czy prawda, bo już gorzej trudno)
Ale tak mówią, – zebrali się ludno.
dobywa krótki cybuch i fajkę
zbliża się do pieca.
Pozwólcie proszę żaru odrobinę.

Lewiński do matki.

Jaką nam dziwną przynosi nowinę.

Podróżny.
poprawiając palcem fajkę.

Otóż po prostu, wyostrzyli kosy,

Noże, siekiérki; kto w batach, kto kosy,
Bez żadnéj rangi, wąsy, by żołnierze
Wypili wódki, zmówili pacierze,
Bez długiéj rady i bez rozhoworu
Szli w imie boże od dworu do dworu;
Ten kosą, nożem, tam siekierką trzeci
Dawaj rznąć panów — i żony — i dzieci. —
Państwo daj łająć, — wraz prosić, — krzyczeli;
I słyszę, bardzo umierać nie chcieli.
Mówili, co niewinni, co ciężki grzech
Biorą chłopi na duszę, — a chłopi w śmiech:
„My do piekła, wy niewinni do nieba
Na piwo abrahamowe, — nam chleba
Choć raz pozwólcie — i choć raz pot z czoła
Otrzeć. I niechaj choć raz chłop zawoła,
Że i on człowiek; a potém choć smoła,
Choć ogień wieczny, — dziéj się wola boża,
Nam tutaj piekło!" I daléj do noża!
I słyszę, rznęli już bez przebaczenia,
By nie zostało pańskiego nasienia
Na całym kraju, ani na lekarstwo,
By zaprowadzić nowe gospodarstwo.

Lewińska.

Ai wierzyć temu trudno!

Podróżny.

Trudno wierzyć,
Wierzyć wam trudno! – a łatwoż wam przeżyć,
Matko?

Lewińska.

Ej! trudno; człek ciągle haruje,
A zawsze głód, chłód; może się zlituje
Pan Bóg, pomyśli; – choć krzywdzą człowieka,
Nuż lepiej będzie – i znów człowiek czeka.

Podróżny.

Dobrze mówicie, – trzeba czekać pory;
Jak pora przejdzie, – trzebić drzewo z kory
I las wycinać na budynek nowy,
Byleby nie był tydzień młodzikowy,
Bo wpadnie robak, – zniszczęści się praca.

Lewiński.

Och! bracie, – taka robota ladaca!...
Sprawy zamorskiéj niech nas Pan Bóg strzeże!
Choć życie ciężkie, choć śród ucieśnienia,
Byleby zostać wiernym swojéj wierze

I nie obciążyć duszy i sumienia.

Słychać hałas podchmielonych lecz niepijanych swatów.
Podróżny żegna się i odchodzi.

Swatowie Zubczyński i Chodkiewicz śpiewają.

Ej! posadzę ja przy chatce
Gruszkę i jabłonkę,
Na pamiątkę żem w tym roku
Pojął miłą żonkę.
Gdy się dziatek dochowuję,
Jabłek i gruszeczek,
To za rękę tu przywiodę,
Żonę śród dziateczek.
Poczęstuję jabłuszkami,
Powiem lubej żonce:
Ilem z tobą lat szczęśliwy,
Tyle tej jabłonce.
Poczęstuję gruszeczkami,
Powiem swej duszeczce:
Ilem z tobą lat szczęśliwy,
Tyle tej gruszeczce.

Lewiński rzuca się na szyje Swatów.

Lewińska.

Więc się rodzice i ona zgodziła?

Chodkiewicz

Jakeśmy tylko do chaty wstąpili,
pokazując puste naczynie.
Poznali swatów po téj pełnéj flaszy.
Rumieniec z Zosi strzelił jak z kaliny;
Rzekliśmy ojcu i matce dziewczyny:
„My przyjechali tu do córki waszéj."
Spojrzeli na się, w wszystkich twarzach zgoda;
Białym obrusem zaraz stół zasłali,
Chleb, sól i kielich zaraz Zosia poda:
„Prosiemy siedzieć", panowie swatowie.
Zosia się zgadza i my się zgadzamy;
Więc niech Bóg szczęści! – Gospodarzowi zdrowie! –
– I zdrowie swatów!" I znów do butelki:
Za zdrowie Zosi, – wciąż w kielich brząkamy,
przewracając butelkę.
Tak do ostatniéj aż do dna kropelki!
A co? ty tchórzu! mówiłem, jedź razem!

Lewiński.

Zdaje się, człowiek łatwiéj by z żelazem

Poszedł na wojnę, gdzie nałożył głową,
Niż iść do łabej po ostatnie słowo.

Lewińska.

do Swatów.

Siadajcież, proszę.

Lubczyński.

Nie, matko! zawczasu
Musiemy wracać, bo, jak świt, do lasu, –
A las daleko, – puszczamy się w drogę.

Lewińska.

Jakże nie wypić?

Chodkiewicz.

To chyba na drogę
Wypijem jeszcze.

Lubczyński.

Zbył się człek podchmielił.

podają wódkę – piją po kolei.

Lewińska.

Powiedzcie, proszę, czyście nie słyszeli;
Jakie za morzem dziwne rzeczy dzieją.

Chodkiewicz.

Że do roboty ludzie się zawzięli.

Zubczyński.

To już z stron różnych te piosenki pieją.
Złe to roboty, lecz kiedyż konieczne,
Dobre, jak inne, – bo bardzo niegrzeczne.
Panowie nas już nie mają za ludzi;
Lud, jak by we śnie, – lecz jak się rozbudzi..

Chodkiewicz.

Ja człowiek wolny, ale zły pan kniprać,
Ej! trzeba będzie raz jeden go wyprać..

pijąc jeszcze.

Zubczyński.

Lecz do wesela będzie wraz gotowi;
Nam czas już jechać. Żegnają się.

Lewińska.

Jedźcie z Bogiem zdrowi!

Scena trzecia.

Chata młynarza.

Zosia zajęta domową robotą, którą składa; zamyśla się — potém ożywiona:

O! po smutkach, jak po suszy,
Promyk szczęścia w sercu płynie;
Jak za niebem tęskno duszy,
Tak za lubym swym, dziewczynie.
O! gdybym pisać umiała,
Ach! jakby dobrze mi było!
To bym w piosenki spisała
Co w duszy śni się tak miło!
I gdzie myśli moje gonią,
Za czém oczy łzy wyronią,
I co serce moje czuje,
Gdzie kochany mój panuje.
Ach! ja bym spisała w pieśnie
I Najświętszéj obraz Matki —
I aniołków, które we śnie
Lecą do mnie, dają kwiatki.

A potém po mszy w kościele,
Siadłszy na pięknej murawie,
Co mówią goście żurawie —
I co mówi w domu pszczółka.
Co skowronki wyśpiewają, —
I co mówi rzeczka mała;
Co z sobą kwiatki gadają,
Wszystko bym, wszystko spisała.
A gdy przyjdzie mój kochany, —
Swą piosenką bym bawiła;
A gdy smutny, zadumany,
Piosnką smutki bym osłodziła.

Wchodzi matka Sosnowska.

Sosnowska.

A widzisz, Zosiu! jam prawdę mówiła,
Jam ci, jak wróżka, twój sen wywróżyła.
Oby dał Pan Bóg w szczęśliwą godzinę!

ściska córkę.

Gdy ujrzę w szczęściu swe dziecię jedyne,
Niczego w świecie nie śmiała bym żądać —
I będę śmierci spokojnie wyglądać.

Zosia z rozrzewnieniem.

Nie mów tak, matko! dla szczęścia mojego

Trzeba twojego życia najdłuższego!...

Młynarz Sosnowski.

Ej! po co płacz ten, — wy zawsze kobiety
Gotowe płakać, choć nie ma przyczyny;
Cóż człek wypłacze? ludzki los zakryty —
I tylko Pan Bóg na niebie jedyny,
Co wie o wszystkiém, podług świętéj woli
Każdemu z ludzi daje cząstkę doli.

Lewiński Antoni wchodząc

Przyszedłem wasze ręce ucałować
I nie przestanę za was Boga chwalić,
Że się zgadzacie mieć mię swoim zięciem;
I na swą duszę zaręczam was święcie,
Że nie będziecie na zięcia się żalić,
Ni doli Zosi będziecie żałować;
Bo doli córki ja waszéj nie zgubię;
Lubię pracować, praca mię nie trudzi,
Jestem poczciwy, spytajcie się ludzi, —
I Zosię waszę całą duszą lubię.

do Zosi..

Przysięgam, Zosiu, że będziesz szczęśliwa,
Nie będziesz płakać na swego Antosia;

do Rodziców..

A gdy szczęśliwa będzie nasza Zosia,
Powiecie: „Pan Bóg poświęcił nam młócwa."

Rodzice błogosławią parę.
Lewiński niezgrabnie całuje rękę Zosi
którą ona wyrywa i twarz nią kryje.

Młynarz.

My wierzym tobie, – dajem swoje dziecię;
Po syna stracie Bóg nam ciebie zsyła.
Kiedy nam oczy zasypie mogiła,
Ty jeden będziesz wszystkiem jéj na świecie,
Jak jeden Pan Bóg na niebie!

Wszyscy się ściskają i rozrzewniają.
Wchodzi kilku ludzi.
ze zbożem do młyna.

Jeden z nich.

My tu ze zbożem, sąsiedzie, do ciebie.

Młynarz odchodząc.

Idę do młyna, – wy Antosia proście
I uczęstujcie nasze drogie goście.

Scena czwarta.

Dom wiejski na wsi dostatniego dziedzica Wodzicza. Rządca jego Łaniec w swoim pokoju zajęty rachunkami.

Wchodzi Mateusz stary lokaj.

Pan wam przyjść kazał.

Łaniec.

O! już ja wiem na co,
Już mi ta sprawa kością w gardle siedzi;
Łaniec – to zdzierca, wołają sąsiedzi,
A chłopi krzyczą: Łaniec łotr, ladaco!
Pan krzyczy: słyszysz, – tak chcę, tak być musi.
Jak się sumienie za kęs chleba krztusi!
Czyż zdychać będziesz? żyć każdemu chce się;
Cnota dziś – głupstwo! nic w kieszeń nie wniesie.

Mateusz.

Co się zrobiło z naszego panicza!
Takie paniątko było bogobojne,
Tak litościwe i dla biednych hojne,

To perła rodu całego Wodzicza.
Tak sprawiedliwy w uczynkach, a w ustach
Taka nauka; – a dzisiaj w rozpustach
Życie przepędza na obrazę boską.
Wszak się już rozstać musiał z jedną wioską.
Reszta wsi – słudzy starzy zaniedbani!...

ze wzruszeniem nagłem.

Oby ten Knipruć w piekielnej otchłani
Na wieki wieków smażył się tam w smole!
Knipruć naszego panicza tak zgubił.
On był tak córkę Kniprucia polubił,
Że chciał się żenić. Ale jeszcze w szkole,
O! bo ten Knipruć – człowiek bardzo brzydki,
Jeszcze przed śmiercią stary pan, jak osła
Łajał Kniprucia, – ni poczciwej nitki
Mu nie zostawił, całą złość wymówił.
Za to zły Knipruć córki swej odmówił.
Oh! od tej pory jak wziął to do głowy,
By kara boża, by jakie nastanie,
By nie ten człowiek; – ni w nim ludzkiej mowy;
Wciąż – hulatyka, karty, polowanie
I insze głupstwa! człek wspomnieć się sroma,
Że dom nasz stał się, by druga Sodoma!

odchodzi.

Mieszkanie Wodzicza.

Wodzicz i Łaniec.

Wodzicz.

z udanym absolutyzmem,
głosem ostrym lecz miarkowanym.

Wiesz, że niechętnie ponawiam rozkazy;
Słuchać i spełniać cała twa nauka;
U innych panów do trzech razy sztuka,
U mnie się rzadko udaje dwa razy.

odchodzi.

Łaniec.

z ironją jego wykształceniu właściwą.

Słuchać i spełniać! — to jeszcze nie wszystko,
Jeszcze nie na tém cała ma nauka,
Upaść się dobrze, gdzie dobre pastwisko,
I nie trzy razy, ale trzysta — sztuka!
Ty szalej sobie jak cała Gomora,
Nim połkniesz twą siarczystą pożaru,
Nim wsi twe spłoną śród rozpusty skwaru,
Ale to dla mnie dziś najlepsza pora!
Tylko mi jedno nieszczęście z młynarzem;
Klękał przedemną, jak by przed ołtarzem,

Całował nogi, – jak na ołtarz znosi
Wszystko co tylko ma, zaklina, prosi:
„Weź wszystko, panie, – tylko nie gub Zosi."
Ej! czasem człeka zaboli sumienie.

po pauzie.

Jam je poszargał, jak swoje odzienie.

z uśmiechem, oglądając się na odzież.

A niegdyś czyste, pamiętam jak we śnie;
Lecz o sumieniu dziś myśleć zawcześnie.
To potém o tém, – niech teraz spoczywa;
Zobaczym później, – teraz pora żniwa!
Ale też dziwny z tego chłopa głupiec,
Rzecz tak zwyczajna, – przy tej powolności
Mógł by też sobie jaką pieczeń upiec.
Ksiądz głupi naplótł im o pobożności,
Bo w żadne chłopskie nie wierzę uczucia.

do wchodzącego Antoniego Lewińskiego.

O, w samę porę. Ty pana Kasprucia,
Tyś się zaswatał do Sosnowskiej Zosi.

Lewiński.

Tak, panie.

Łaziec.

Ja wiem, w dobrej trafiasz porze,
Pan jest dopiero w najlepszym humorze
I nie odmawia, gdy kto o co prosi.

Lewiński z ukontentowaniem
kłaniając się wchodzi.

Wodzicz – Lewiński.

Lewiński.

Przychodzę, panie, prosić łaski pana!

Wodzicz.

do siebie.

Jaki chłop piękny, – jak anioł Tycjana,
Pogoda w twarzy; szlachetność z czoła!
Czego chcesz, bracie?

Lewiński.

Jam z pańskiego sioła
Zaswatał dziewkę,

Wodzicz.

Dobrze, mój kochany!
Jaką dziewczynę? — która to jest wioska?

Lewiński.

Ona nie z wioski, panie, lecz z zaścianka,
Córka młynarza, — Zofia Sosnowska.

Wodzicz.

zarumieniony i z widoczném pomieszaniem po chwili..

Że wszystkich wiosek wszystkie do wyboru
Masz me dziewczyny bez żadnego sporu;
Ale z zaścianków do cudzej wsi, żadnej
Nie dam. Poszukaj sobie drugiéj ładnej;
O! ładnych znajdziesz w mych wioskach niemało.

Lewiński..

po chwili ze wzruszeniem.

Gdybyż to panie, inszej serce chciało!
Mówią, że żonę i śmierć Bóg przeznacza:
Niech boskiéj woli pan nie przeinacza,
Niech pan szczęśliwy długi wiek swój żyje,

Niech nam nie broni, bo szczęście zabije.
Nie daj nam, panie, na siebie się żalić,
Lepiéj za siebie pozwól Boga chwalić.

Wodzicz.

pasując się z sobą,
prędko się przechadza.

Jak on mnie sobie samemu wykrada,
Budzi głos, który w sobie stłumić chciałem;
Jednym językiem zawsze serce gada, –
On kocha, – niegdyś i ja tak kochałem!
Ale raz serce zniewaga zrządzona
Ludzkie uczucia wyjadła mi z łona.
Nie chcę ich więcéj, choć znam ich ponętę!
Miałżebym nowe gotować męczarnie,
Bym na pal cierpień rozpięty bezkarnie,
Żem czcił to wszystko, co ludzkie i święte:
Jam w téj czci sądził oddawać cześć Bogu.
Świat mię z szyderstwem powitał u progu
Mojego życia – i dziś już darownie
Chciał by to znaleźć, co tak zabił we mnie!
Dziś jam szyderca – i jak wy się śmieję.
Lecz nic pogardą dla was nie zrównacie;
Cały ból w śmiechu pokażę wam szczerze,
Śmiechem wypiszę wszystkie życia dzieje!

Lewiński nie pojmując mowy i uniesień, robi znaki podziwienia; Wodzicz przypomina się, – do Lewińskiego z ironją.

Przepraszam, bracie za to uniesienie;
Ludzie mi skradli najpiękniejszą krowę, –
I takie smutne, mój bracie, zdarzenie
Nieraz mi plącze i zawraca głowę.
Wszystkie dziewczęta weź sobie kochanku
Z wszystkich mych wiosek, lecz żadnej z zaścianku!
Wybierzesz sobie jedną z pięknych wielu,
Ni słowa więcej, – bądź zdrów, przyjacielu!

do siebie.

Ma gust, – wiem że im byłoby przyjemnie,
Lecz za cóż ma być szczęśliwszy odemnie!

Lewiński.

odchodząc.

Że jemu krowę ukradli, on za to
Chce nam skraść szczęście! I człowiek i krowa –
To jedno! – Nieraz staranniej pan chowa
Bydlę niż człeka – i taką zapłatą
Dlaczegoż się cieszyć?… a Bóg patrzy na to!

odchodzi ze łzami.

Scena piąta.

Karczma. — Chłopi z sąsiednich wsi zeszli się na odpoczynek, a obcy podróżni zajechali na noc. Jedni siedzą za stołem — to jedzą, to piją wódkę; drudzy przy piecu palą fajkę z krótkich cybuchów. Gwar w karczmie. Podczas téj sceny siedzi na osobności przebrany po wieśniaczemu syn Knipruncia August, dwudziestoletni młodzieniec, szlachetnéj postawy. Lewiński wchodzi.

Zubczyński
do Lewińskiego.

I ty tutaj, kumie-bracie!

Lewiński.

Ej! bo smutno siedzieć w chacie.
Czyż by człeka piekło parło
Iść do karczmy; — idziem z biedy:

I pociechy tylko wtedy
Gdy zaleje człowiek gardło.

Lubczyński.

Nie tobie gardło zalać winie,
Gdy pół czarki; a gdy czarka,
To największa twoja miarka.

Chodkiewicz.

Nie, nie wielki ty zuch, kumie,
Jeszcze patrzysz na młokosa;
My jak trochę więcej żyjem
I z Lubczyńskim kiedy pijem,
To po pół garnca od nosa.

Lewiński.

Tu przynajmniej ciałek posiedzi,
Spotka ludzi, spyta przecie,
Jak się innym ludziom wiedzie,
Czy tak wszystkim źle na świecie!
Innym lepiej, innym gorzej,
To tak sobie ciałek rozbiera:
Tym, co gorzej, — niech Bóg wspiera,
A daj wszystkim lepiej, Boże!

Podróżni wieśniacy zwracają uwagę.

Jeden z Podróżnych.

Djabeł, bracie, biédę zbędzie,
Jedna minie — dziesięć będzie.

Lewiński.

Toż całek cierpi, ej! do licha,
Choć się serce mocno ściska,
Choć żal piersi przerozdyma,
Myślisz sobie: „cierpi człowiecze!"
Ależ człowiek nie wytrzyma,
Może swoję duszę zgubi . . .
Ależ potém sobie rzecze:
I tu piekło! — Choć trud lubi,
Choć pracuje często głodny,
Choć nie dośpi, choć i chłodny,
Wszystko cierpi. — Jeszcze mało?
Gdy co sercu miłém stało,
Za czém serce tęskni, boli,
Za czém cierpi jak za grzechy,
To pan weźmie dla swawoli,
Lub dla krótkiéj swéj uciechy.

Drugi z Podróżnych.

Takie, bracia, świata sprawy,
Pan stworzony dla zabawy.

Zubczyński
do Lewińskiego.

Zkąd twój smutek?

Lewiński.

Bracia, bieda!
Wodzicz mówił, Zosi nie da.
Człek się modlił, jak do Boga,
A on nie dał.

Chodkiewicz.

Co za trwoga!
Nie trać serca, damy rady;
W życiu ludzkiém, tak jak w wojnie,
Człek stać musi wiecznie zbrojnie
Na złość losu, – losu zdrady
W dobréj sprawie tchórz się trwoży,
Mężny walczy aż do końca;
A gdy zginął, jak obrońca,

To jak żołnierz zginął boży.

Drugi z Podróżnych.

Dobryż wasz Pan?

Lubczyński.

Z łaski boskiej,
Jak wiadomo, jak pan każdy;
Pan od wieków panem zawżdy.

Chodkiewicz.

O! wyborny ich pan Knifrać!
Trzeba będzie go raz wyprać.

August
do siebie.

Miłe dla syna wspomnienie,
Jak by gromu uderzenie!

Drugi z Podróżnych.

Dobrze mówisz.

Trzeci z osóbnego grona u drugiego końca stołu.

I śród panów
Znajdziesz gorszych od szalonów; –
Lecz jest różnych, – są i tacy,
Co, daj Boże, żyć do wieka,
Co nie skrzywdzą nigdy człeka,
Co nagrodzą jego pracy
I nie jeden grosz nadrzucą;
Nie tumanią i nie ozwucą,
I jak z braćmi, żyją z ludem.
Tak pan Jordan.

Lewiński.

Grzech by skłamać.

Czwarty z Wieśniaków.

Taki pan, to cud nad cudem,
Gotów na pół grosz rozłamać,
By potrzebnym dać i biednym;
Tak podzielił się nie z jednym,
Jak podziela się on z nami.
Bóg za wszystkich jemu daje,
Bo wdzięcznego ludu łzami

Bóg wzgardzi urodzaje.

Jeden z Poddanych Knipprucia.

Grzech zaprzeczyć, – prawda szczera,
To jedynny pan z pod słońca;
Lecz cóż jeden śród tysiąca,
Co bud męczy i obdziera.

Pierwszy z Podróżnych

Ej! to prawda; i my mamy
Takoż pana, – żal się Boże!
Choć płaciemy, wyrabiamy,
Lżej psu pewno znieść obróżę, –
Niż żyć z panem. Łatwiej z wodą,
Zgodzisz ogień, i dzień z nocą,
Łatwiej zgodzisz deszcz z pogodą,
Łatwiej djabła z świętą mocą,
Niż pan będzie chłopu bratem.

Drugi z Podróżnych.

Dobrze mówisz; jak świat światem,
Chłop na pańskich stworzon sług,
Bo tak, wiedzcie, chciał sam Bóg.
Powiem wam powieść co wam wytłumaczy,

Dla czego taki porządek na świecie.
Co zrobił Pan Bóg, człek nie przeinaczy,
A jak i czemu, — zaraz się dowiecie.
Kiedy Bóg stworzył i niebo i ziemię;
Zwierzęta, wody i drzewa i kwiaty,
Gdy tak świat stworzył piękny i bogaty,
Wtenczas rzekł: trzeba stworzyć ludzkie plemię,
Aby żył człowiek, z życia się radował
I cudom ręki swojej się dziwował.

Jeden z Słuchaczów.

Piękna historja, — to z Pisma Świętego.

Drugi z Podróżnych.

Gdy więc był w świecie dostatek wszystkiego,
Trzeba człowieka, rzekł Bóg, abym stworzył;
Wziął gliny, zlepił, chuchnął i człek ożył.
Po ziemiach, lasach i po brzegach wody,
Wszędzie się boskie rozbiegły narody;
A wszystkie równe, proste, z jednej gliny.
Żyli jak bracia; lecz gdzież człek bez winy?
A możeż z winą, człek przed Bogiem skryć się?
Co ma najskrytszych spraw ludzkich opiekę?
Z razu lud prosty o las, o pasiekę,
Dawaj się kłócić, a w końcu i bić się!

Ej! myśli Pan Bóg, nie ma z chłopstwem rady;
Czyż ciągle w niebie trza godzić ich zwady?
Porznią się chłopi; — stworzyć pana trzeba,
Delikatniejszej niż chłopstwo natury,
Żeby go wzięli za postańca z nieba
I tak się bali, jako kotów szczury.
Więc Bóg już niechciał tworzyć pana z gliny,
Ale wziął w niebie najpiękniejszej mąki,
Masła i jajek, tak jak by na bliny
I zlepił pańskie najpiękniejsze członki.
Ale nim chuchnął, ażeby pan ożył,
Kontent Bóg z myśli, w niebie go położył. —

Kilka Głosów.

Dalibóg przednia historja prawdziwa,
Nim skończysz, bracie, — hej, wódki! hej, piwa!

przepijają do opowiadacza
ktory pije wzajemnie.

Drugi z Podróżnych.

Otóż słuchajcie! — Bóg rad z takiej cacy

Kilka Głosów z uśmiechem.

Ej prawda, caca!

Drugi z Podróżnych.

Poszedł Bóg, by zważyć,
Jak pańską głowę i serce usmażyć,
By, broń Boże! nie dopiec. Plany kréśli,
Jakie dać panu i serce i myśli,
Jak pan powinien nienawidzieć pracy,
Śród jakich pan ma zamieszkać pałacy,
W jakie się szaty ma stroić ozdobne
I insze pańskie myśli tym podobne....
Kiedy tak Pan Bóg rozmyśla, pan leży. –
Tymczasem, patrzcie! jakie ztąd zjawisko:
Było tam w niebie straszne, wielkie psisko;
Jak zwąchał pana, – tak piękny, tak świeży,
A taki smaczny! – dawaj do roboty,
Chrumś, chrumś co prędzéj – i zjadł go do joty!

Kilka Głosów
z ukontentowaniem.

Zuch! lecz zkąd potém to licho się wzięło?

Drugi z Podróżnych.

Słuchajcież! Jak zjadł – strasznie psa wydęło;
A w tém wszedł Pan Bóg już z myślą gotową;
Popatrzył, poznał. – Jemu spojrzéć dosyć:

A psisko bestja z miejsca się nie ruszy.
Bóg się rozgniewał; jak porwie za uszy,
Jak pocznie bestją Wszechmocny tarmosić,
Patrzcie, dziw jaki! — to nad rozum ludzki,
Z psa żywe państwo sypie się jak kluski;
Na różne końce sypali się świata,
Aż się sam Pan Bóg zdziwił z tego cudu,
I postanowił dla zmniejszenia trudu
Zwać ich od drzewa, od wody, od kwiata,
Gdzie który spadnie: na brzozę — Brzozowski,
Na skałę — Skalski, gdy na kwiat — Kwiatkowski,
Na żabę — Żaba, na wilka — Wilczyński,
Gdy na kobyłę — to pan Kobyliński.
I tak na różne ptaki i zwierzęta
I różne rzeczy; — któż wszystkich spamięta!
Dość, że ich spadło co dżdżu kropel z chmury,
Wszyscy z psa rodem, wszyscy psiej natury!

August
do siebie.

Szczytna myśl, pełna ludowej swobody,
Nad heroldyczne piękniejsza wywody.

Kilkanaście Głosów.

Prawda, jak święte słowa Ewangelji.

Jeden z Słuchaczów.
pijany, z najlepszą wiarą.

Nieraz człek myśli, zkąd się oni wzięli?
Aż ledwie teraz dowiedział się przecie.

Drugi Podróżny.

Dalibóg prawda: najzmyślniejszy w świecie
Pies i pan. — Powiem wam jedno zdarzenie:
Klnę się na duszę, ni słowa nie skłamię.
Trzeba mi było zboża na nasienie;
Nie ma zkąd dostać: rola poorana;
Było to wiosną; idę prosić pana.
„Łotrze, pijaku, łajdaku, ty chamie!"
Szczekał bez miary, lecz zboża odmówił.
„Gdy nie zasieję, myślę sobie, zginę."
Człek się przeżegnał i pacierze zmówił:
„Daj nam dziś chleba i odpuść nam winę!"
Ukradłem zboże! — A pan do zasieka,
Aż zboża nie ma; — więc sprawa się toczy:
Przyzwą nas wszystkich. Pan zaziera w oczy,
By pies z podełba w każdego człowieka;
I raptem do mnie, by pudel za zgubą:
„To ty!" — „Nie brałem," klnę się żywym Bogiem,
Na rany Pańskie; — ale tuż za progiem
Stał już z przyborem ekonom Koczubo,

I strasznie dali – nie pamiętam wiele!
Tylko wiem, że pan zdechł w drugą niedzielę.

Trzeci.

Ktoś oczarował!

Czwarty.

Pewno nie inaczej.

Piąty.

Dobrze mówicie! – lecz i śmierć zwąchała
Smaczoną tabakę.

Drugi Podróżny.

Ja sam tabakierkę
Robiłem dla niej na tabakę z pana;
Czy, że dąb twardy, złamałem siekierkę,
Czy, że w mszę samę, bo w niedzielę z rana;
Lecz nie żal; – niechaj będzie Bogu chwała!

Piąty.

Człek by woły i konie oddał na siekierki,

Byleby robić wciąż te tabakierki.

August robi poruszenie cechujące gwałtowne wewnętrzne wstrząśnienie. Zajeżdża jakiś pan do karczmy i wchodzi. Chłopi się mieszają, zdejmują czapki, skrobią głowy, szepcą coś jedni do drugich.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Scena pierwsza.

Dom na wsi bogatego dziedzica Knipruciа.

Knipruciowa i córka jéj Marja

syn August dwudziestoletni.

Knipruciowa.

Marynii moja! o jakżem ja rada,
Gdy się myśl jaśniej w twéj duszy rozetli;
Gdy się w twych oczach i twarzy rozświetli;
Serce się matki z szczęścia nie posiada.
Odkąd jaśniejszą, weselszą cię widzę,
W serce nadzieja tak wstąpiła żywa,
Że będziesz, będziesz, Marynia, szczęśliwa.

Marja.

całując rękę matki.

Mamo, prawie swych cierpień się wstydzę,

Żem woli bożej wlede nie umiała,
A to grzech, mamo! Składam Bogu dzięki
Za te cierpienia z jego świętej ręki;
Jam dziś szczęśliwa, bom lepszą się stała.
W kwiat serca robak był gniazdo swe złożył,
By zbytek troski z pod serca wytoczyć,
By duch pokory w mojém sercu ożył
I zczył wolę mą z Bogiem jednoczyć.

Knipeuciowa.

Bóg dobry, Marjo! wszystko zrządza lepiej;
Niechaj Duch Święty twoje serce krzepi.
postrzegając wchodzącego Augusta.
August kochany!

Marja.

Pewno od Jordana
Powracać musi, — o, jakżem ja rada....
August wchodzi — Marja pokazuje mu bukiety otrzymane od włościańskich dziewcząt.
O! zobacz, bracie, jaki dar bogaty
Dzisiaj mi moje przyjaciółki dały;
Po kilka kwiatów jest tu z każdej chaty;
A jak mię przy tém serdecznie ściskały,

Jakże ze łzami żegnały mię biedne,
Mówiąc: na świecie my panienkę jedną
Mamy, co kocha i co nas zakryje;
Uczy nas wiary i jak żyć, wskazuje.
By nasza matka, tak nam wszystkim droga;
My za panienkę codzień prosim Boga.
rozrzewniona łzy ociera.

August.

Jakie to szczęście, jeżeli się czuje,
Że głos, co z bliźniej piersi się wyrywa,
Każe nam wierzyć, że miłość prawdziwa
Wiąże te boskie na ziemi ogniwa.
Jedna jest miłość, co nigdy nie kłamie
Śród serc zepsutych światowego brudu,
Miłość to czysta poczciwego ludu
Silna jak serce i jak jego ramie,
Które kraj kocha i uprawia ziemię.
Lecz gdy w nim jedno lub drugie zadrzemie,
Biada, kto karmił pierś buda opjatem!
Może z pragnieniem krwi on się przebudzi,
Strasznych snów marę rozwiesi nad światem,
Pjanego szału porownica łuny;
Lub, ach! okropniej, — może się rozbudzi
W snie śmiertelnego grzebiąc pierś całuny!

Marja.

Tyś mi dał, bracie, to bogate życie;
ściskając go.
Jam dobrowolnie za to twą poddanką,
Żeś mię postawił na tej myśli szczycie,
Być mych sióstr młodszych siostrą i kapłanką.
Dałeś chęć świętą, daj jeszcze i zdolność
I postąp ze mną, jak z swoją poddanką.

August.

W chwili dziedzictwa daję tobie wolność
Dawno w mej piersi wszystkim zapisaną.

Kniprić.

stary, rumiany, jowialny
cygaro w ustach.

Jak się też macie?
do Augusta.
Cóż nasz entuzjasta
Tu deklamował? jaki zapał boski!
Musisz już pewno z jakiej wracać wioski;
Czy nie chcesz czasem wyjść na króla Piasta?
surowo.
Powiedz, Auguście, po co się tu włóczysz

Po tych tam chłopach, – czego się naraczysz?
Mózgi wam mącą, te myśli ludowe,
Wiem, że ci warjat ten zawrócił głowę,
Lecz tym acanu radził z nim ostrożnie.

z giestem podejrzliwym.

Ptaszek, o którym mówią, bardzo różnie.
Darował ziemię, i z chłopstwem się zbratał,
Ale się może gdzieś lepiej wylatał.

August
do siebie.

O Boże! przebacz tym okropnym słowom,
Ja go obrażać nie będę obroną.

Knipreć.

O! wiemy dobrze: pod świętą zasłoną
Nieraz czart gości, który głupim głowom
Jak twoja, mózgi zawraca, – a przecie
Któż jest nad ojca przyjaciel na świecie!
Komuż przed resztą należy pierwszeństwo
I komuś winien ślepe posłuszeństwo?

August z energją.

Bogu i prawdzie, cnocie i krajowi!

Toś sam, mój ojcze, raczył we mnie wrażać;
Swięcie być pragnę posłusznym głosowi,
Życiem i czynem chcę tén głos powtarzać.

Knipruć.

oglądając się.

Będąc tu z sobą możem mówić śmiało;
Wiedz, miłość kraju jest w świecie rzecz główna,
Przezeń się szlachcic może okryć chwałą
I nieraz fundusz swój z mitrami zrówna.
Każdy kto szlachcic, kandydat do tronu,
Więc ma dość każdy królewskich zarodków;
Wolno każdemu przez cześć dla swych przodków
Dążyć najwyżej – i owoce plonu
Złożyć w ofierze, – może i na tronie.
Tak święty ogień dla ojczyzny płonie;
To jest kraj kochać i myślą okrążyć
Swietność przeszłości – i tak wyżéj dążyć.
Czyli mnie rozumiecie?

Wszyscy dają znak potwierdzenia.

August.

Knipruć.

Tak możem zdziałać wszystko co zechcemy;
Wszak tajemnice zakryte przyszłości,
Lecz być gotowym trzeba do godności.
Błysną chorągwie z nad Renu, Szprewy,
A wielkie zajdą na świecie przemiany.......
Kto mały, niski, ten wieńców nie splecie,
Bez czci, znaczenia zostanie na świecie.
Z resztą to godność, o bracia! człowieka.
Gdy kto wyższością w powiecie dopieka,
Gdy książę, hrabia, wyżsi swym początkiem,
To za to wyższym trzeba być majątkiem.
To wypowiadam jak ojciec przed wami,
Przed wszystkiém trzeba być patryotami.

wchodzi Lokaj.
w liberji z herbami.

Ludzie już przyszli, którym rozkazano.

Knipruć.

Niech pod dom przyjdzie cała ta czereda.
Lokaj odchodzi.
do syna.
Com rzekł, niech będzie w tobie zapisano,

Świętszych nad ojca nikt tobie rad nie da.

August.

O! jakże, matko, to serce rozdziera,
Gdy w uroczystej, tak świętej godzinie,
W której się ojciec przed synem otwiera,
W której miłości słowo z serca płynie,
Gdy syn rad ojca jak przekleństwa słucha
I widzi w słowie synobójstwo z ducha.
Przyszłość!... na takiej budować ją skale
I samobójstwa kluczem ją otwierać,
Przez całe życie grosz wąchać, czcić, zbierać
I na to tylko, by dzieciom w podziale
Zostawić pieniądz — i poprzestać na tem,
Aby je w srebrze zobaczyć bogatem;
Myśleć wysoko, być duchowym śmiałkiem,
Iść w przyszłość torem wydeptanym w błocie,
I zostać wielkim człowiekiem — marszałkiem,

z uśmiechem.

Może i królem przyszłości przez krocie.

z uczuciem boleści.

To wszystko, mamo, parwenjuszów cechy.
Cóż? że się ojciec dorobił pieniędzy,
Kiedy w najwyższej jest moralnej nędzy.

postrzega się.

O, przebacz Boże! mówię syna, grzechy.

O! nie wiesz, matko, jak się serce krwawi!
Może szczęśliwsze nam jutro objawi
Całą okropność bolesnych katuszy,
Co w tonie rodzin dojmują dziś duszy,
Gdzie tak podarte rodzinne ogniwa;
Przez co cnót w domach coraz skąpsze żniwa.
Czyż przyszłość darmo krzyczy, wola o nie?
Dla ojca mego poświęcił bym siebie;
Lecz któż walk piekła obrachuje w tonie,
Czy się zrzec ojca, albo Boga w niebie?

Pogrąża się w smutku. Matka i siostra z najżywszém spółczuciem dla niego..

Scena druga.

Zebrany Lud przed domem: starzy – młodzieńce – dziewczęta.
Knipruć i Drozd jego Rządca.

Pierwszy z Wieśniaków.

Jakąż on dziś nam piosenkę zaśpiewa?

Drugi.

Pewno my śpiewać będziem pod rózgami,

A Drozd grać na nas.

Stary Wieśniak.

Jak stado do chlewa
Spędzili.– Słyszę, pan z Drozdem swatami
Dzisiaj,– i będą rozdawać nam żony;
Sprzęgać jak uprząż, jak wygodniej panu,
Jak woły w sochę, jak konie do brony:–

kiwa głową.

Tak sprzęgać ludzi do świętego stanu!

Lewiński..

Chyba mi wprzódy głowę zdejmą z karku
I chyba wprzódy odetną mi ręce,
Nim mi na głowę włożą ślubne wience
I przysiądź każą dla swego podarku.

Stary Wieśniak.

A cóż ty z biedy robić będziesz, bracie,
Kiedy pan z Drozdem zawezmą się na cię;
Aż się nie zgodzisz, będą męczyć póty,
Odbiorą zdrowie, a potém — w rekruty.

Lewiński.

Niech choć zabiją, klnę się żywym Bogiem,
Gdybym i zginąć miał pod pańskim progiem.

Wchodzą Knipruć z Drozdem.

Knipruć.

do siebie, poglądając na lud
z pogardą — z cyga-
rem w ustach.

Jaka to tłuszcza! jeszcze stoi niżej
Niźli zwierzęta; odkąd znam ich bliżej,
Każdy, kto biegły jest w tej zoologji,
Musi, chcąc nie chcąc, zwątpić w teologji,
Z owych mniemanych zasad o równości;
Z fizjologicznych już przecie praw wiemy,
Że różna czaszek budowa i kości.
Jak że to w świecie wyrównać pragniemy,
Co rozdzieliła ręka opatrzności.
Oh! folles reveries! żadnych uczuć śladu,
Zda się krew rybia, lub raczej owadu!

do Drozda.

Czy dokończyłeś co do zamęźć planu,
Jakem onegdaj zalecił acanu?

Drozd.

Wszystko gotowe.

Knipruć.

do ludu.

Na teraz w jesieni,
Gdy z pól zebrano, gdy Pan Bóg dał chleba,
Wszak wiecie sami, że żenić się trzeba.
Choć z pól zebrano, nie trzeba próżnować:
Dorosły dziewki — dorośli i chłopcy;
Gdzie niepotrzebne dziewki lub parobcy,
Na co gospodarz ma darmo żywować?
Trzeba pomyśleć i o przyszłym roku,
Aby i z sierpem i z kosą i w toku
Mogła się stawić równie każda chata.
Pan Drozd tak dobry, staje wam za swata;
On wie najlepiej. — Tu i zachód krótki,
Na zaręczyny ja wszystkim dam wódki!
Jutro niedziela; — ksiądz proboszcz w kościele
Niech moim kosztem zapowiedzi czyta.

z uśmiechem.

I tak szczęśliwie, od dziś za niedzielę
Będziecie sobie kochać się — i kwita.
Ale też jestem ciekawy wyboru.

Drozd.

wydobywa przygotowaną kartkę i czyta; — wszyscy przerażeni.

Anna Dąbrowska z Jurczakiem ze Dworu,
Szyszkowska Basia z Antonim z Kleciszek,
Kasia Grzybowska z Pawełkiem z Mirdziszek,
Siostra Pawełka z Jankiem z tejże wioski,
Z Franciszką Kleszeń Wincenty Pawłowski,
Z Grzegorzem Klebszem Krystyna Kurszanka,
Z Jawką Łabunem Paulina z zaścianka,
Z Marją Pieszczanką Kazimierz Biedziński,
Z Różią z Budziszek Antoni Lewiński.
Na ten rok wszyscy.

zwracając się do Knipprucia.

Widzi pan dobrodziej,
Z resztą dziewczęta i chłopcy zbyt młodzi;
Lecz gdyby taka pańska wola była,
Może by jeszcze para się złączyła.
Lecz doświadczenie mam z resztą niemylne,
Że z takich małżeństw są dzieci nie silne;
Lub nie ma wcale, albo mrą w młodości —
I nic inwentarz nie zyska w ludności.

Knipeuć.

Bardzo dziękuję i ziomu wierzę,.
do ludu.
I wy dziękujcie swatowi swojemu;
On o was myślił i starał się szczerze,
By dobrze było!

Chwila milczenia.

Lewiński.

Nie dziękujemy jemu,
Bo my tak, panie, nie będziem szczęśliwi.
Cóż potem, że on nam tak żony rozda,
Gdy Pan Bóg w sercach temu się przeciwi;
Wszak śmierć i żona od Boga, nie Drozda.

Knipeuć.

Łotrze zuchwały!

Kilku Wieśniaków.

kłaniając się.

Nie, panie, nie chcemy;
My sami sobie żony wybierzemy.

Drozd.
do Knipruciа z cicha.

Lewiński zawsze jest początkiem złego.

Knipruć.

A łotr! – to bunty, – ja nauczę jego!
uderzając Lewińskiego.
Słyszysz ty, łotrze! wiesz, co pańska wola?

Lewiński..

Wiem Jasny panie! zawsze słucham wiernie:
Ja pierwszy w pole i ostatni z pola;
Zawszem wypłatny, choć żyję mizernie,
Ale nie mogę dziewczyny tej lubić,
Nie chcę jej szczęścia i swojego gubić.

Knipruć..

Kamantyk! proszę!

Drozd.
do Kniprucia.

On zawsze dowodzi,

I zawsze sprzeczny na rozkazy dworu;
Trzeba go zmusić, bo gdy się nie zgodzi,
Wszystkich nauczy swojego uporu.

Knipruć.

Słyszysz ty, łotrze! wola moja święta;
Kto się sprzeciwi, długo popamięta!

Lewiński.

Ku woli pańskiej i boskiej na niebie
Niech pan co zechce każe robić ze mną;
Niech mię choć żywcem i w ziemię zagrzebie,
Lecz zmusić żenić, — to panie daremno!

Pomiędzy wieśniakami szum pochwalający, co Knipprucia do reszty rozdrażnia.

Knipruć.

Ach ty, złodzieju! będziesz się buntować!
Panie Drozd! pięćset! proszę nie żałować;
Gdy się nie zgodzi, — jeszcze drugie tyle!

Drozd.

Wnet! — słyszę panie! Sprawię się za chwilę.

Knipruć.

I wszystkim równie, co się oprzeć śmieją.

Drozd porywa Lewińskiego z kilka
oprawców i z całą gromadą odchodzą.
Słychać hałas i szmer.
Na boku sceny wchodzą:
Knipruciowa, Marja, August.

August.

To jakiś ustęp, pewno z naszych dziejów.

Wpada stara służąca,
matka jednego z młodzieńców.

Stara Służąca.

O Matko Boża! o święci anieli!
Poprowadzili, by jakich złodziejów;
Bić za to, że się tak żenić nie chcieli
Jak pan rozkazał!

August.

Co?

Marja.

Ach!

Knipruciowa.

Czy być może?

Stara Służąca.

Tak mi we wszystkiém pomóż, Panie Boże!

August chce tam lecić,
matka i siostra chcą go zatrzymać,
lecz on się wyrywa.

Scena trzecia.

Lud jak w Scenie poprzedniéj,
Knipruć, Drozd i August.

August.

w obec ludu rzuca się ojcu do nóg.

Ojcze! przebacz mu!

Knipeuć.

odpychając go nogą, ze wściekłością.

Pójdź precz, głupi bławnie!
Raz ci na zawsze mówiłem wyraźnie,
Żadnych instancyj! — bo gdy się obraźę,
To zaraz samego ośmieszyć cię każę.

August.

zrywa się od nóg ojca, przylatuje do
Drozda pasującego się z Lewińskim
i mówi z zapałem,
ze stłumionym oddechem.

Drozd! słuchaj: puść go! nie chciej mię probować!

Drozd pomieszany puszcza Lewińskiego.

August

stłumionym oddechem do ludu.

Mój ojciec, bracia, chciał z was zażartować,
Chciał się dowiedzieć, czy w was serca biją;
Odtąd on więcej będzie was szanować.

Knipruć.

pomieszany, pasując się z sobą i okropnie drżąc cały.

Czy on mię szczędzi, czy drwić chce? O żmijo!
O! dziecię własne szarpie mię i kąsa!
O! tak, rozumiem: ach! on się natrząsa!

Drozd stoi pomieszany —
Lud rozczerwieniony ściska Augusta.

Lewiński.

Panicz by z nieba, zda się, tu przychodzi,
Inne by były z panem Drozdem żarty;
Niechaj panicza Bóg za nas nagrodzi!

Knipruć.

Lepiej bym wolał być w szmaty podarty,
Łatwiej bym przeniósł wbite mi w mózg gwoździe,
Niżli ten widok!

wpada na Drozda, uderzając go.

O! ty podły Drozdzie!
Gdzie posłuszeństwo, kto jest twoim panem,
Czyj ty chleb zjadasz i kto tobie płaci?

do syna.

I ty nikczemna, potworna postaci!
Ty, co się stałeś dni moich szatanem,
Ty mi w pociesze dajesz same bole,
Gotujesz sobie piekło wiecznej zguby.
Ty szydzisz z ojca, łamiesz jego wolę!
Czekaj! dziś jeszcze ostatni dzień próby:
Wzór posłuszeństwa wszystkim dzieciom wrażę.

August.

Lecz nikt niskiemi być im nie nakaże!

Knipruć.

Drozdzie! czy słyszysz? własnemi rękami
Po staropolsku chcę mu dać rózgami.
Porwać go!

Drozd.

pomieszany.

Panie! ja nie śmiem się mieszać...

Knipruć do ludu.

Łotry! słuchajcie, — łeb każę wywieszać.

BIBLIOTH: UNIV. JAGELLONICAE

August.

otoczony ludem, który zabiera się go bronić.

Ot tak, – bezbronny, bezpieczny tu stoję;
Nie wiesz, mój ojcze, że nad wszelką zbroję,
Nad wszelką władzę i nad wszelką przemoc
Serc wdzięcznych ludu pewniejszą jest pomoc;
Największą siłę niszczy i rozprzęga,
Bo tak wszechmocna jak Bóg jej potęga!

Knipruć

z gniewem graniczącym z obłąkaniem,
do syna.

W imię miłości, w imię przywiązania,
Jeżeli w tobie jest choć iskra cnoty,
Każ bić, zaćwiczyć te podłe istoty,
Co nie słuchały mego rozkazania.

August

z uczuciem żalu i godności.

Starsze niż ojca, są prawa ludzkości,
I ojcem ojców jest Pan Bóg na niebie.
Wiem, wszystkom winien poświęcić dla ciebie
Prócz Boga, ojcze! i prócz tej świętości,
Co dłonią jego w pierś ludzką wpisana;

Prócz tej świętości, co moje kolana
Zgina przed tobą i czcić ciebie każe;
Prócz tych świętości, co wszechmocnym głosem
Boskich na ziemi praw żąda straże,
Nad uciśnionych też wyciska losem,
Nagradza cnotę, a występki karze.

Wchodzą Knipruciowa i Marja.
Kniprucś wysilony gniewem,
pada prawie umarły.
Żona i córka wynoszą go.

August
do ludu.

Każdy z was żonę sam sobie wybierze:
I gdy będziecie stać w obronie zdolni
Prawdy i wiary, jak dziś w serc obronie,
Gdy własne szczęście pokochacie szczerze,
Będziecie wszyscy szczęśliwi i wolni;
I wnukom dacie szczęście po swym skonie.
Jam bratem waszym i kochać was muszę,
Bo w was widziałem godne serca bicie.

Wszyscy się pochylają
otaczając Augusta.

Lewiński
padając na kolana.

Paniczu drogi! klnę się na swą duszę,
Za ciebie każdy poświęci z nas życie!
rozchodzą się.

Scena czwarta.

Knipruć chory w malignie – Chłopiec ubrany po kozacku, siedzi u głów jego, klnie Kiprucia, a piórkiem prowadzi mu po ustach.

Chory
łapiąc piórko.

Cicho, poczekaj! wnet ja ciebie złapię!
Mówiły bajki, że żmij dostarcza pieniędzy.
A co? złapałom! już ciebie mam w łapie!
porywając piórko.
Dawaj mi, dawaj najprędzej!

Chłopiec rozrzuca na stole kilkanaście sztuk leżącej monety, Knipruć chwyta, zbiera i chowa za nadrę.

Ja pan, pan! mam krocie.

Ukazują mu się różne widzenia; za każdém z nich zmienia charakter mowy.

Szlachcina ubogi.

Ach! jedno tylko bogactwo jest w cnocie!
A wszystkie inne rzecz płocha;
Ten najbogatszy, kto cnotę, kraj kocha.

*

Dalibóg, drwiłem,— na honor! to żarty,
Et głupstwo! O! chłopy lamparty!
Lecz szczena skóra; — o, poczekaj chłopie!
Czy chłopi ludzie? — a nie — to konopie!...

*

Cicho! cyt! — gdy się myśl wyśliźnie —
O tak, to bracia! wszak to nasi bliźnie!

*

No, chodź grać w pałki, — pankcik po pół rubla;

Aha! złapałem! oskubię jak wróbla!
O, patrz! wygrywa! — ale do stu katów,
Ja oberzniętych dziś nie mam dukatów.
Jutro raniutko!

*

O, pani kochana,
Gdyby to wcześniej, gdyby wczora z rana,
Tobym z rozkoszą; bo trzeba być z lodu;
Znam co sieroctwo!

*

Niech choć zdycha z głodu!

*

Co marniejszego, jako próżna sława;
Próżność światowa to ludzi zabija!

*

Gdyby na szyję złapać Stanisława,
Jakaby piękna była moja szyja!
Choć do uścisków i Gubernatora!

*

Największy przymiot na świecie — pokora.

*

Tego bym łotra ze skóry obnażył,
A potém w smole usmażył.

*

przymilając sie.
Pan jest człowiekiem istnym ideałem!
Zawsze głęboko pana szanowałem.

Wchodzą: Doktor, Żona i Córka.

*

Tyś faktor, — a to — matka tej maliny.
Jakież — milutkie stworzenie!
Nie znam piękniejszej dziewczyny.
Ale to drogo!… miej przecież sumienie!
Ja płacę zaraz gotówką;
Lecz przed mą żoną, broń Boże! choć słówko!

Zrywa się by uściskać córkę,
lecz bezsilny pada.

Doktor.

do Knipruciowéj.

Źle jest, jak widać; ale trud nasz cały
Poświęcim na to, aby dobrze było.

Chłopiec.

do siebie.

Oby go Pan Bóg przyjął do swej chwały;
Jak mi tu siedzieć przy nim się sprzykrzyło!

CZĘŚĆ CZWARTA.

Scena pierwsza.

Dom Wodzicza.

Wodzicz sam.

Jak straszna nuda toczy życie moje.
I tak dzień każdy, jak soliter długi
Co w wnętrzach siedzi, by dzierżawca drugi
Twojego życia przyszedł nieproszony,
Pod twojém sercem siadł nienasycony.
Każdy kęs z tobą podzielić przychodzi,
I nieproszony w twych wnętrzach się rodzi.
Niewezwany biesiadnik żywcem ciebie zjada;
Lecz jest jeszcze straszniejszy, co w duszy osiada:
Bo tamten chylem twoich soków żyje,
A ten chyl duszy, jéj boskość wypije
I zje chyl uczuć! O! robak tu siedzi,
On nieśmiertelnie pamyje zgniliźnie,
Bo kogo ona raz jeden nawiedzi,
Tam na tron śmierci on zaraz się wśliźnie,
Jedynowładca w umarłych ojczyźnie,

Mocarz wszystkiego co się tarza w pyle,
Robak, syn śmierci, wszechmocny w mogile.

pauza..

A kto postradał wiarę w życia cele
I został żywcem pogrzebany w sobie.
Czém jest me życie? jest iskrą w popiele,
Własnym robakiem w swego życia grobie,
Lub jak letargu złożony niemocą,
Schowany w trumnę, cóż? że się przebudzi,
By ziać ostatek tchnień piersią sierocą,
Którą wnet tchnienie mogiły zastudzi.

pauza – z ironicznym uśmiechem.

„Być albo nie być." – Czyliż to pytanie
Każdemu z żywych powtórzyć się godzi.
Jest rodzaj bytu, który te dwa grodzi,
A który ludzie nazwali konanie!
U nich to chwilka, a przecież widziano
Ach! stuletnie konanie ludzi i narodów.
Widziałem drzewa kwitnące ogrodów,
Które jadł robak; darmo go spędzano,
Bo samo drzewo rodziło robaka.
Drzew i narodów historja jednaka.
Bolał ogrodnik, – lecz to tajemnica
Była przed nim, że dziecię zjadało rodzica

pauza.

A więc są takie i ludzie robaki;
O! są robaki ludzie – i jam robak taki
Z śmierci się swoich wylągłem i żyję,
Z trupa ziemi ostatki dojadam i piję.

Służący daje znać o przybyciu gości.

A teraz cała robaków rodzina!
Po cóż się do mnie cisną, jak do grobu;
Czyż być samotnym nie ma już sposobu.
Za towarzystwo dam im swoje wina;
To stokroć łatwiej niż uczłować duszą,
Biedne robaki i one żyć muszą.

Scena druga.

Wchodzą: Kubiesza possessor Wodzicza, Hrabia Kaciukiewicz i Dwaj Przyjaciele Wodzicza.

Wodzicz nie wstaje z miejsca
i bardzo zimno ich wita.

Kubiesza.
do siebie.

Pan nasz bez żartu dzisiaj nie w humorze!

Przyjaciel Pierwszy.

Cożeś tak kwaśny?

Hrabia.

Czyliś nie w rankorze
Contre nous cher ami!

Wodzicz
nie odpowiadając.

Hej! podajcie wina!

Lokaj przynosi wino:
nalewają i spełniają całemi szklankami.

Kubiesza.

Na splin najlepszy recept: polowanie.

Przyjaciel Drugi.

Lecz okropnego widzę cierpisz splina.

Wodzicz.

To nie splin, ale to było widzenie.

Hrabia.

Vision!

Kubiesza.

Na niebie może jakie znaki
Znów okazało świata przyrodzenie.

Wodzicz.

Swiat mi się zdawał być wielką mogiłą,
A w tej mogile, wy ze mną robaki.

Hrabia.

Oto mi piękne!

Przyjaciel Pierwszy.

I to cię skwasiło!

Przyjaciel Drugi.

Czyż marom wierzyć?

Kubiesza.

To gawęda stara,
Ale wyborna, — sen mara, Bóg wiara.

Wodzicz.

nalewając kieliszky, które spełniają.

Słuchajcie! szczerość wszak to przymiot cnoty,
Wypróżnimy swoje kieliszky aż do dna:

pija.

Ażeby ziemia stała się niepłodna

Kubiesza robi znak podziwienia.

Na wszystkie do nas podobne istoty!

Kubiesza.

Myśliłem że pan chce niewrodzaju!

Wodzicz.

Nieurodzaju — tak, zgadłeś, mój bracie!

Kubiesza.

Lecz jakaż wtedy różnica w intracie?

Przyjaciel Pierwszy
śmiejąc się.

O possessorze!

Wodzicz.
nie zważając na tok mowy, nalewa szklanki; — pije w usposobieniu dytyrambicznem, — prawie pijany.

Pijmy z całej siły
I sił pożyczmy u wszystkich pijaków;
Gdy sił nie stanie, wygrzebmy z mogiły.
. . . .
Niech piersi nasze jak wulkanów łono,
Co ziemi całej obudzają drżenie,
Wszystkich pijaków niech wcielą pragnienie
I wszystko pijane niech w sobie pochłoną!

Czémś pierwszém w świecie koniecznie być trzeba,
Wypijem pjaństwo i pójdziem do nieba.
A gdy się wzbudzi pokolenie młode
Z pragnieniem w pjanej miłości poczęte,
Jako Jan Chrzciciel będzie piło wodę,
Choć nas kląć będzie, ale będzie święte.

Pijąc.

Więc pijmy szczerze, to nasze kapłaństwo
Wypić aż do dna całej ziemi pjaństwo!
Wszystkich wszetecznic, wszeteczników serca
Weźmy do siebie i rozżarzmy w winie,
Rozścielmy pjane rozpusty kobierca;
Znamię z meczetów weźmy w swe świątynie,
I weźmy wszystko, co biedakość brudziło,
Wszystkie swe brudy weźmy w swoje życie,
Postawmy siebie aż na śmierci szczycie,
By, co umarło, życiu nie ciążyło!
I tak przez życie pójdziem jak robaki
Żuć śmierci ziarno, by w zębach spróchniało;
Trza zjeść zgniliznę, — bo w niebieskie szlaki
Uduchownione tylko pójdzie ciało! —
Bo tak i w Piśmie Świętém powiedziano
O zmartwychwstaniu ciał na pierwsze życie,
Do zmartwychwstania, robaki! wam dano
Gotować życie, — robaki słyszycie?

Przyjaciel Drugi.

O, jak przecudnie! – na szczyty podniebne
Wzniosłeś nas, jako wieszcz monochomachji
Cudnie odgadłeś, w stworzenia hierarchji
Wszystko jest dobre i wszystko potrzebne;
Święty Augustyn tu się z Heglem zgadza.

Hrabia.

I sam rozsądek tak sądzić doradza.

Przyjaciel Pierwszy.

Lecz są uchyby w stworzenia konturze.
Jaką nić wniosku wysnuć z takiej przędzy,
Gdy Hrabia – jasny – i gdy bez pieniędzy.

Przyjaciel Drugi.

ściskając Hrabiego.

Lecz bądź spokojny mój hrabio kochany!
Pięknieś urodzony, pięknieś wychowany,
Musim ci ciepłą wynaleźć panienkę,
Która z rozkoszą odda hrabi rękę;
A potém będziesz marszałkiem wybrany.

Hrabia.

Klnę się, będziecie mieli urzędnika,
Co na marszałku utrzyma Sprawnika;
Żaden ze Strapczych ani Assessorów
Nigdy wam nosa nie wściubi do dworów.

Przyjaciel Pierwszy.

Lecz najtrudniejsza rzecz z Gubernatorem,
Bo nie utwierdzi, ani też przedstawi.

Hrabia.

Ah! quel outrage! aż się serce krwawi!
Na onegdajszym wszak byłem wieczorze,
I Gubernator był w dobrym humorze:
„Ah! monsieur le comte! comment va?" wita;
Cóż znaczy, gdy kto o zdrowie zapyta?

Przyjaciel Drugi.

z ironją.

Gdy tak, panowie, — to wcale rzecz inna.

Hrabia.

Widzisz, to była jakaś plotka gminna.
Tak, jak mówiłem, klnę się mym honorem,
Żem jak najlepiéj jest z Gubernatorem.

Kubiesza.

Zawczasu łasce polecam się pańskiéj,
Może possessję z opieki dworzańskiéj?
Jestem znajomym, ręczę mym honorem,
Że jak najlepszym będę possessorem.
Byle by chłopstwo raczył pan uśmierzyć:
Takie dziś zjadłe, że aż trudno wierzyć!
Ja się pod pańską oddaję obronę,
Ja mam, mój panie i dzieci i żonę.

Hrabia.

O! ręczę za to, że powiat odżyje.

Wszyscy.

Comte Kocinkiewicz marszałek, niech żyje!

Hrabia z głupotą zbliża się ze szklanką w ręce do Wodzicza, który na osóbności siedział.

Wodzicz

weselszy, śmiejąc się..

Jaka wszechmocna, boska wina władza!
Jakie tęczowe nadzieje zgromadza.

Przyjaciel Pierwszy.

do Wodzicza.

Smutnyś! czy serca nie drapie Marynia!

Wodzicz.

z humorem.

Pytasz o Zosi?

Przyjaciel Pierwszy.

O nie! o Maryni.

Wodzicz.

Już dla niej dzisiaj me serce, pustynia,
Już pochowana w serdecznej świątyni;
Już i pamięci nawet zwiędnął wianek.
z gwałtownością tłumionego uczucia.
Za zdrowie wszystkich umarłych kochanek!

Piją.

Przyjaciel Drugi.

Lecz Zosia cudna!

Przyjaciel Pierwszy.

A więc Zosi zdrowie!

Piją.

Przyjaciel Drugi.

Gdybym miał wieszcze natchnienie poety,
To bym ją opiał w nieśmiertelnem słowie:
Zbladły by twarzy, czary i zalety.

deklamuje.

Zosia ma cudną twarzyczkę,
A kibić jeszcze cudniejsza;
Choć jedną nosi spódniczkę,
Jednak Zosia najsmaczniejsza!

Kto by z ust jéj miłość chwytał,
Choć mowa nie najwdzięczniejsza,
Każdemu, kto by zapytał,
Rzekł by: Zosia najsmaczniejsza!

Choć piersi jedwabiów nie tuli,
Wartości Zosi nie zmniejsza;
Nawet w ceniej cienkiej koszuli,
Przysięgam, że najsmaczniejsza!

Przykładne stuletnie pary,
Rzecz nad wszystko nadniejsza;
Lecz pić z ustek Zosi, czary,
Klnę się, rozkosz najsmaczniejsza!

Przyjaciel Pierwszy.

Przecudnie! brawo! jabym stawił głowę,
Że Zosia wyższa nad czary laurowe.

Kubiesza
z pewnością.

I ja zaręczam, bo wiem z doświadczenia,
Jakie rozkoszne – wieśniacze dziewczęta.

Hrabia.

Nie wiem, czy może być jaka ponęta
Wdzięków i czarów złego urodzenia.

Kubiesza.

Ja mówię śmiało, bo wiem z doświadczenia.

Przyjaciel Pierwszy.

Dawniej me serce było monarchiczne,
Którém rządziła królowa wszechwładna;
Dźwigałem jarzmo, bo królowa ładna
I cudną miała postać i oczy prześliczne.
Potém w pierś wpadła myśl rewolucyjna,
I rządziła królowa lecz konstytucyjna.
Dzisiaj me serce jest rzeczpospolita,
W której głos każda ma piękna kobiéta.

Przyjaciel Drugi.

Systemat rządu twego serca dzielę.

Kubiesza.

Taki najlepszy

Słychać skomlenie
psów gończych i trąbki myśliwskie.
Biorą przygotowane strzelby i probują.

Hrabia.

Wszystko gatunkowe:
Kellarda, Fechta, – to Szgalasówka.

Kubiesza.

Szgalas London i Bałabanówka,
Z takiej spudłować, to wstyd, powiem śmiele.

Przyjaciel Drugi.

mierząc do Kubieszy.

Dziś choć jednego gawrona zastrzelę.

Kubiesza trwoży się – Wyjeżdżają na polowanie.

Scena trzecia.

Mateusz.

Nie ma co, – wszyscy zlękli się tego;
Co wytrąbili! Gdyby pod przysięgą
Bartek mówił komu; – to nikt nie uwierzy!

zbierając butelki.

Co tego trzeba! – no! tędzy rycerze!

po pauzie.

Hm! jaka wojna, takie i zwycięztwo.
Nad całym ludem by jakie przekleństwo;
Bo za cóż Pan Bóg miałby błogosławić!

wynosi butelki.

Scena czwarta.

August, Jordan.

August.

smutny.

Więc wiesz już wszystko! Lecz mój ojciec chory!

Jordan.

Biedny twój ojciec, — aleś ty nie winien!

August.

Obaśmy biedni, — nie dbam o pozory,
Które mię będą winić w obec ludzi,
Możem tak zrobił, jak zrobić powinien;
Sąd błahy tłumu, nie boli, lecz nudzi;
Ale nie mogę bólu serca stłumić.

Jordan.

Taki ból serca nie trudno zrozumieć,
Bo zapisano w poczęcia wyroku
Wszystkich serc lepszych i lepszego życia,
Nosić dla innych tę boleści w oku
I nieść dla innych żywsze serca bicia!

August.

Przebacz mi, lecz jest w boleściach tortura
Której się nie zna ostatniego końca,
Gdzie w kirze każda nadziei purpura,
Kędy źle rozpacz swojego posłańca
Z tamą dla piersi, jak dno piekła wielką,
O! tam już rozum, – jest też tej kropelką,
Na dom, co płonie – dziś domu wygnańca.

. . . .

Cóż są owe bóle? – drzewa bezowocne!
Cóż owe nadzieje? – to ogniki nocne!
Żyć! wynieść życie jako pustą kartę,
Gdzie nic potomność, nic niebo wyczyta.
„Czego ty żyłeś?" gdy się Bóg zapyta,
Pokazać oko zgniłe i serce podarte,
I tak bólami wylać byt swój cały,
Czekać dni lepszych, jak plonu ze skały!
Widziałem ludzi smutne upodlenie,

Którego bracia są moi śpichlerzem;
Wiara przyszłości była mym pacierzem,
W końcu rzec z śmiechem: to było marzenie!

Jordan.

Zostaw i rozpacz i skargi i krzyki
Dla niedołężnych; tobie się nie godzi; —
Kto rzeźnie w życia dziejowe pomniki,
Ten w dziejach przyszłość od przeszłości grodzi.
Przyszłość dla ludzi święta i szczęśliwa,
Bóg świętej Jana ukazał źrenicy.
Ciągle się dziejów wysnuwa przędziwo,
Dotrzyma ludom Bóg swej obietnicy!
Nie samochwalcy, ani blasku chciwi,
Lecz cisi sercem, pracowici ludzie
W niezmordowanym swym prowadzą trudzie
Ludzkość, po wielkiej postępu drabinie!
Czyny i czyny! dziś już w tandetowym
W czczym przebrzmiewają, bez myśli hałasie,
Tylko wiekowa myśl w czynie wiekowym
Zrodzona, wejdzie i zaświeci w czasie!

Wielki czyn, jedno jest co wielka cnota,
Chrześcijanin w ukryciu dopełnić go umie;
A wszystkie inne co się legną w dumie,
Nie wejdą w wieczność, bo zlepione z błota.

I wszystkie inne są mydlanym szumem,
Albo pożaru wzniecona łuną,
Chwilkę zaświecą, zabłysną przed tłumem,
Zgasną, jak głownie i w popiele runą.
A cnót publicznych nasieniem i szkółką
Jest dom, co cichych poświęceń straż trzyma,
Bo dom, cnót kraju jest składką i spółką,
Nie ma cnót w kraju, bo ich w domu niema!
Lecz nie trwoń życia próżnemi kołami,
Wszystkie dni twoje, wszystkie piersi tchnienia
Zrób tak, by były żywemi zgłoskami
Żywej historji twojego istnienia,
Urną dla żywych jak dla ciał popiołów.
Jest piękność z ducha, co ich w życie zmienia,
Jej urny strzeże chór stróżów aniołów,
Których Bóg zsyła w każde pokolenie!
Coś to uczynił, coś to słowo będzie,
Które się w piersi żyjące przelało,
Już się to słowo nieśmiertelnem stało.
Niech cię nie trwożą przyszłe pokolenia,
Bo ludom miłość moralnej piękności
Jest tak konieczna, jak dziewic spojrzenia
W świętych porankach czarownej miłości.

Nie trwóż się, choć by skon twoich był bliski;
W swym nierozumie albo upodleniu
Miotają jedni na drugich pociski,

Szukając ulgi własnemu sumieniu.
Rób swoje tylko; cóż? że oni zginą,
Cóż? że ty zginiesz! młodsi bracia twoi
Dziś pognębieni, staną w podwoi
I z świętą urną przez życie popłyną.
Bo wiedz, że kochać, czcić moralne piękno,
Jest to niezłomna ludzkości potrzeba,
Bo w tej miłości jest przeczucie nieba.
Patrz, pytaj: czemu ludy się nie zlękną
Nieść życie swoje, wszystkie ziemi dary,
By w ziemi świętej zatknąć swe sztandary.

. . . .

Albo pod Wiednia murami umierać.

Wpada posłaniec od Kniprucia.

August.

Ojciec mój coraz na zdrowiu się schyla,
Żegnam cię, drogi. Skarbem mi ta chwila
Będzie na zawsze; dziś się nauczyłem,
Że to jest życia zagadka największa,
Cierpieć i umieć cierpieć. — To życie upiększa:
Jam się odrodził, — bo w bólach odżyłem.

Scena piąta.

Jordan, Młynarz Sosnowski, Lewiński.

Jordan.

Cożeś tak smutny, poczciwy młynarzu?

Młynarz.

Ej! biada, panie! – tak jak po cmentarzu
Chodzi całek smutny po tej biednej ziemi;
Jedno me dziécię pomiędzy cudzemi,
Bez żadnych wieści żyje w poniewierce,
A drugie biedne, chociaż żyje w domu,
Lecz nie ma szczęścia, – i może śród sromu
Zginąć jéj przyjdzie: – to i boli serce!

pokazując na Lewińskiego.

Pan Bóg mi zesłał w nim drugiego syna,
To go pan Knipruć o mało nie zabił.

Lewiński.

Gdyby nie panicz, szczęść mu Swięty Boże!
Dziś znów pan Wodzicz... Na co mówić wiele,
Wszak pan wiész wszystko... Łaniec ciągle wabił.

Młynarz.

I ciągle w duszy jakąś złą myśl przędzie;
Za tydzień miało być Zosi wesele,
Za tydzień może człowiek łzy pić będzie.

płacze.

Jordan.

Zaufaj Bogu! nade wszystkie złości
On jest silniejszy, – on stróż niewinności.
I w imię tego co sercami władnie
Wierz, że twej Zosi włos z głowy nie spadnie.
Wróćcie do domu, przynieście im pokój;
Otrzej łzy stary i sam się uspokój
I bądź gotowy na wesele Zosi.

Młynarz.

Zawsze pociechę człek ma w pańskim progu;
Ach! mogęż wierzyć? Któż Pana uprosi?

Jordan.

Nie mnie wierz, stary, ale zawierz Bogu!

Młynarz.

uniesiony.

Ach! Boże, Boże! jak bym się narodził
Na nowo na świat; — jak by się odmłodził
I ja i świat; inszemi oczami
Zdaje się patrzę, inszemi uszami
Słucham — i gadam jak by inszą mową;
I pod nogami ziemia się by zmienia;
I w sercu, zda się, już nie ma kamienia;
Zdaje się człowiek urodził na nowo.

ściskając Jordana.

Kochany panie! — o, nie wzgardź chudobą,
Racz uszczęśliwić nas swoją osobą:
Kiedy gość taki zawitał do chaty,
To by ominął swego Bóg stał w swaty.

Jordan.

Dobrze, mój bracie, z ochotą.

Młynarz.

robiąc giesty.

Dziękuję!
Młynarz odmłodniał, odmłodniał; ach, czuję!
Jeszcze podejmie na wesele nogi,

I jeszcze z serca ostatki dobędzie
Uraczyć gościa, – choć młynarz ubogi,
Ale gościowi na niczem nie zbędzie.
A więc za tydzień, paniczu kochany,
Dziś już nie trzeźwy – będzie młynarz pijany.

BIBLIOTH. UNIV. JAGELLONICAE

CZĘŚĆ PIĄTA.

Scena pierwsza.

Laniec.

Dziś, – lub precz z miejsca; więc dzisiaj dostawić.
Pan dziś na łowach – i ja dziś wyruszę,
Bądź co bądź, – mniejsza; on każe – ja muszę!
Dziś w wieczór... już wiem! ej, to częsta bieda
Ten młynarz, młynarz, – on chleba mi nie da.

Aż strach, jak panu Zosi się zachciało,
Niechaj szaleje! – co mi! – stań się, – stało!
Porządnym panom też służyć nie warto;
Idzie pod rejestrem i kieliszek wódki,
Tak jakeś przyszedł i wyjdziesz golutki
Z butem dziurawym i suknią podartą!
A tutaj człowiek, przy boskiej pomocy,
Może na pana wyskoczyć jak z procy.
Małoż spaniało moich dobrych braci?
Z razu – wszak złodziej; – lecz wnet te gawędy
Pomału cichną, – potem na urzędy
Proszą, prowadzą – i o małych wadach –

Całkiem zapomnę przy dobrych obiadach. —
A kto bez grzechu, niechaj kamień rzuci!
Matoż to braci świeżutko obuci,
Rosną, jak bułki na drożdżach, w herbarzach,
Szukając przodków po wszystkich cmentarzach,
O których nawet i sam Pan Bóg nie wie.
Potém, by z nieba na szlacheckiém drzewie
Wszczepią pław nowy w jakiegoś staruszka,
Szlachta zeń rośnie, by na wierzbie gruszka.

z rezygnacją.

Więc tak być musi, — plan gotów, — wiem wszystko;
Więc paś się, Łaniec, — to twoje pastwisko.

Scena druga.

Knipruć, Drozd i Dymitr.

Knipruć jeszcze cierpiący; Dymitr chłop dworny, zaufany pański, rozumny i przebiegły — postawa wysmukła.

Knipruć.

Drożdżec! przez pamięć na twoje zasługi
Przebaczam tobie; lecz radzę, raz drugi
Nie chciej probować mojej cierpliwości.
Onegdaj dałeś zgorszenie dla włości;

Gdyby cień jeszcze! – to cię do Sprawnika
Poślę, oskarżę jako buntownika –
I zginiesz w turmie o wodzie i chlebie.

Drozd.

Widział Pan Jasny i widział Bóg w niebie,
Jako służyłem zawsze wiernie panu;
Ale syn pański!....

Knipruć.

Przebaczam acanu!
Syn mój po jutrze na Kawkaz pojedzie;
Chcę, by krajowi posłużył wojskowo.– ....
W przyszłą niedzielę chcę, by zapowiedzie
Były czytane i wszystko gotowo
Do wykonania zrobionego planu,
Bym nie powtarzał raz drugi acanu.

do Dymitra.

Ty najpilniejsze mieć będziesz baczenie
Na wszystko, co się między niemi dzieje.

Dymitr.

skrobiąc głowę i kłaniając się.

Pan zna mą wierność i moje sumienie.

Drozd.

Lecz na Lewińskim mam małą nadzieję;
To chłop zbyt hardy, pewno się nie zgodzi,
A za nim, panie! pójdą wszyscy młodzi.

Dymitr.

stanowczo.

On się nie zgodzi!

Knipzuć.

Rzecz krótka i prosta!
To rzecz acana; gdy nie wskóra chłosta –
I jeszcze chłosta, – to ogolić głowę
I oddać w zaciąg za ratę marcowę.

Dymitr.

Chyba tak, panie.

Drozd.

Tak najlepiej będzie:
Dwór się przynajmniej kłopotu pozbędzie,
Gdy się wypleni paskudne nasienie.

Knipruć.

Proszę o wszystkiem zachować milczenie.

Drozd i Dymitr odchodzą.

Scena trzecia.

Knipruć, Żona jego i Marja.

Knipruciowa.

Zdrowszyś, mój mężu?

Knipruć.

Lepiej mi jest trocha.

Marja.

całując rękę ojca.

Taka nas była otoczyła trwoga,
August tak płakał i tak prosił Boga!
tuląc się do ojca.
Papa przebaczył i Augusta kocha?

Knipruć.

zimno.

Tak jako ojciec winien kochać syna,
Tak jako człowiek, — nie zaś jako zwierzę.
Już plan zrobiłem o jego karjerze;
Może wam dziwną zda się ta nowina?
Chcę, by się w korpus kantczki zaciągnął,
Żyć się nauczył, w posłuszeństwo wprzągnął:
Po jutrze rano już w drogę wyruszy.

Knipruciowa.

przerażona.

Jakiż grom nowy rzuca mi do duszy!

Marja.

Ojcze! o, nie truj ostatnich dni matki:
Ona tak dużo cierpiała na świecie!

Knipruciowa.

Czyliż chcesz zabić swoje drugie dziecię!

Knipruć.
z affektacją, poruszając głową.

Zabić! – ha! zabić! – o głupie warjatki!

Odchodzi.

Knipruciowa.

To być nie może! – jedynego syna, –
Za cóż się gniewać? – jaka jego wina?
O Boże, wejrzyj w smutną matki dolę,
Weź moje życie, lub zmień ojca wolę!

Marja.
z pewnością i wiarą.

O matko moja, ukój swe rozpacze!
Chociaż Augusta kocham nad swe życie,
Tak się nie trwożę, nie smucę, nie płaczę.
Jakaś szczęśliwa myśl pociesza skrycie,
I w głębi duszy swéj czuję wołanie:
O! bądź spokojna, – on z nami zostanie.

Knipruciowa.

Nie znasz żelaznej swego ojca woli.

po pauzie, do siebie.

Biedne dziewczęta! jak mię los wasz boli;
Nim wasze serce jeszcze się przebudzi,
Grzeczność układna uczucia kupuje,
Blask i dostatek rozsądek ułudzi,
A wyobraźnia wieńce szczęścia snuje.
A potém serce, jak kwiat przesadzony
Pod obcą strzechą, ach, biedny! więdnieje!
A gdy w uczuciach waszych zczeźnieje
Życie jak jesień w smutny dzień zachmurzony,
I łza jedyną wtenczas waszą siłą,
Węzłów szczęśliwszych nadzieja z mogiłą!

po pauzie.

Ach, biedny August! on nic nie przeczuwa,
Jaka się przyszłość dla niego usnuwa.

z najżywszą boleścią.

Darmo! gdy w żonie matki nie oszczędzi,
Gdy najstraszniejszy ciern w życiu doplata;
Chyba mię razem z nim z domu wypędzi:
Pójdę z Augustem choć na koniec świata.

Scena czwarta.

Chata wieśniacza.

Zubczyński, Chodkiewicz, Dymitr
i inni Wieśniacy.

Zubczyński.

do Dymitra.

Jużeśmy ciebie przeczekali, kumie.

Dymitr.

Nie było po co.

Zubczyński.

Cóż wy tak w zadumie?
Jakież, Dymitrze, przynosisz nowiny?

Dymitr.

Smutnej my, bracia! doźyli godziny!
Zdało się, słonko naszym oczom wznijdzie,
I zaszło znowu; — pewno zginąć przyjdzie!

Kilka Głosów.

I cóż tam, bracie?

Dymitr.

Och! słuchajcie mili
Aż straszno mówić, tak sprawy ladace;
Ja każde słowo swoją głową płacę.

Pierwszy z młodych wieśniaków.

Możesz że myślić, byśmy cię zgubili?

Dymitr.

Ginąć — to razem, — gdy całek rady nie da:
Razem — raz, — a nuż odczepi się bieda.

Kilku młodych wieśniaków.

Cóż tam, Dymitrze!

Dymitr.

Wiecie, pan był chory,
Tak teraz od nas on zdrowia pożycza,

By się nie stracił czasem na doktory;
Po jutrze z domu wypędza panicza:
Ale gdzieś na wojnę naszego anioła,
A sam wojować z nami pozostaje.

Pierwszy z młodych wieśniaków.

O! my nie puścim naszego sokoła,
Niechaj nas Knipruć choć w sztuki pokraje.

Kilku młodych wieśniaków.

Będziem go bronić, tak jak on nas bronił.

Dymitr.

Knipruć o wszystkiém powiadać zabronił.
Jak syna wyśle, — w następną niedzielę
Na zapowiedzi kazał dać w kościele;
Aż się nie zgodzą, rozkazał bić poty,
Kto się nie zgodzi, — to w zaciąg, w rekruty.

Pierwszy z młodych wieśniaków.

A kiedy Knipruć którego zabije?

Pierwszy ze Starych.

Jak było nieraz.

Dymitr.

zimno.

To ten nie odżyje,
I wtenczas wolny ma prawo się schować.

Pierwszy z Młodych

Gdyby raz pańskiej natury sprobować:
Czy dziś bić będą, – czy bić potém mają, –
Wszak wszystko jedno! Bóg w niebie obaczy,
Że nie z rozkoszy, ale to z rozpaczy!
Gdzie już sił braknie, gdzie się serca krają!

Długa chwila milczenia.

Pierwszy z Młodych
do Chodkiewicza.

Cóż wy, mój bracie, jak że tu radzicie?

Chodkiewicz.

z namysłem.

Nie bić, – bić – nie bić, – bicia równe bicie!
Różnie widziałem, ho Pan Bóg niech sądzi,
Wszak on i światem i myślami rządzi.

nalewa z flaszy
pełny kieliszek i wypija.

Pierwszy z Młodych.

Cóż ty sam, bracie? – i nam dawaj w kolej.

Drugi z Młodych.

Nie szczerze, bracie! – pełniuteńko dolej.

Piją po kolei.

Trzeci z Młodych.

Oto jak Pan Bóg na wysokiém niebie,
Co w serce patrzy, – wszak kary nie minąć,
Ja chcę się za was poświęcić i zginąć!

Czwarty z Młodych.

Nie, – to ja!

Piąty z Młodych.

Ach, ja!

Szósty z Młodych.

Nie; – ja, bracia moi!
Mnie dajcie! – po mnie prędzej się ukoi
Żal, bo ja jestem sierota na świecie;
Lecz że was kocham, teraz się dowiecie!

Dymitr
postrzegając kogoś, z trwogą.

Cicho! – szpieg pański! – Zginęliśmy – biada!

Pierwszy z Młodych.

Więc wszyscy razem w nocy! – krótka rada!

Rozchodzą się.

Scena piąta.

Wodzicz - Hrabia Kaciukiewicz - Kubiesza i Dwaj Przyjaciele Wodzicza.

Scena około domu Jordana.

Pierwszy Przyjaciel.

To dom Jordana, - śliczna okolica!
Warto by mnie poznać jéj dziedzica.

Drugi Przyjaciel.

Tak młody jeszcze, a taki dziwaczny.

Kubiesza.

I sąd o rzeczach ma bardzo opaczny;
Godność szlachecką obciąża bezwstydnie,
Wchodzi z chłopami w pobratymcze związki.

Hrabia.

Czyli być może? – fi! jak to obrzydnie!

Pierwszy Przyjaciel.

To twoje, hrabio, święte obowiązki,
Byś się postarał go przereformować.

Kubiesza.

Pan hrabia umie dowcipnie żartować;
Trzeba go tylko jeden raz wyszydzić,
On się poprawi, bo będzie się wstydzić.

Drugi Przyjaciel.

O, brawo, hrabio! teraz twoja pora.

Wodzicz

z uśmiechem, do siebie.

Na psychicznego ma więc wyjść doktora!

do towarzyszów.

Ja mam dla niego dług szczerej wdzięczności:
Wczoraj ocalił mi prawie pół włości,
Która by w strasznym spłonęła pożarze!

On ją ratował z wielkiem poświęceniem;
A dwoje dzieci objętych płomieniem
I zapomnianych w przestrachu i gwarze,
Po które pójść nikt nie był dosyć śmiałym,
Przyniósł rodzicom dobrześcią omdlałym.
Muszę więc ustąpić by mu podziękować.

Kubiczka.

Niech nie zapomni pan hrabia żartować.

Wchodzą do domu Jordana.

Ciż sami i Jordan.

Wodzicz.

do Jordana.

Szczerej wdzięczności zaciągnąłem długi;
W imieniu właścian szczere dziękczynienia
Przynoszę panu.

Jordan.

Nie warto wspomnienia;
To obowiązek, a żadne zasługi.

Hrabia

do Jordana.

Pan ma podobno wielki gust do chłopów?

Jordan.

wzrokiem zimnym poglądając na niego, po chwili milczenia.

Bardzo!

Hrabia.

z affektacją.

O wzniosły wmyśl filantropów!
Czémże tak pana umieli zwerbować
I wyssać czucia serdecznej osnowy?
Bo pan ma do nich popęd romansowy.

Kubiesza

do towarzyszów zniechęconych z żartu hrabiego.

Oh! to mi hrabia, o! umié żartować!

Jordan.

do hrabiego.

Kocham ich, panie, jak młodszą rodzinę,
Jako uboższych i słabszych odemnie;
Kocham ich jeszcze, jak zamku ruinę,
Którą by chciano odnowić daremnie,
Stawiąc od frontu herbowe kloaki!
Gdy mi miłości obcy rodzaj taki,
Proszę się, panie, pytaniem nie trudzić,
Bo na cóż żądać — ból lub litość budzić.

Kubiesza

do siebie.

Tak zda się cichy, a jak się odcina.

Jordan

z uniesieniem.

Wszystko ma czas swój; — skutek i przyczyna
Złączone z sobą, jako dwa bieguny,
Jako dwie zgłoski jednego wyrazu.
Dziecię w kolebce — i starzec u trumny,
To są odcienie jednego obrazu;
Tak jako słońce wschodu i zachodu
Jest tylko zmianą kierunkow promienia; —

Tak jak się zwraca koryto strumienia,
Tak i dziejowe koryto naroda.

Kubiesza

ze złośliwością.

Jaki to, panie, ma związek z korytem.
Inszy był może bieg rzek przed potopem,
Ale chłop pewno zawsze będzie chłopem,
Jakimś gałganem nigdy nieosypnytym.
O! znam ich blizko, – to poezja, panie!
To są tajdaki, jakich mało w świecie;
Inaczej może zdaje się poecie, –
Lecz są inaczej w rzeczywistym stanie:
To są pijaki, hultaje, złodzieje;
I im kto lepiej obchodzi się z niemi,
Tém niewdzięczniejsi, stają się gorszemi,
I bardziej źli, im lepiej im się dzieje:
Prawda tak jasna, – jak że słońce świeci.
Z resztą, mój panie! – mam żonę i dzieci.

Hrabia i Kubiesza z tryumfem zacierają ręce.

Jordan.

Jak się bieg zdarzeń powtarza w naturze,
Pozwólcie, jedno zdarzenie powtórzę,

Płynęła piękną, czystą wstęgą rzeka:
Karmiła kwiaty i łąki swym zdrojem;
Liczne posługi niosła dla człowieka,
Liczne rzeźwiła stada swym napojem.
Ale raz rzeka zmieniła łożysko!
Widział to człowiek i kwiaty widziały:
Człek ujrzał, odgadł, — kwiaty zapłakały;
Lecz postrzegł zmianę uszaty panisko
I jął się gniewać nad nowem korytem
I chciał zagrzebać, zadeptać kopytem.
Strumień biegł dalej, — ale pan uszaty
Myśl tajemniczą na swe ucho wije;
Poczekaj! rycząt, ja ciebie wypiję!
I pił — pił, — ale cóż! darmo się trudził,
Opił się biedak, usnął — i nie zbudził.
Nie dość żołądka, nie dość mieć kopyto,
By wstrzymać rzekę lub czasu koryto!

Kaciukiewicz i Kubiesza pomieszani; — długa chwila milczenia.

Wodzicz.

z powagą, spokojnie.

Smutne koryto przyszłych dziejów wątku,
Którego gruntem mielizna, kał, błota!
Massa skalana spodleniem ciemnoty;

Jakiegoż z chwastu doczekać użątku?
Jakiejż przyszłości zgotuje się strawa?
Jakiego życia poniesie nasienie
Massa, jak polip? – toż przyszłości nowa;
To tylko smutne przyszłości złudzenie!

Jordan.

z uczuciem boleści, z uniesieniem.

To nie złudzenie, jako Bóg na niebie!
W Bogu już przyszłość ziściła nadzieje;
Kto ład potępia, niech wprzód spojrzy w siebie; –
Chce zajrzeć w przyszłość, – niechaj zajrzy w dzieje!

z wzrastającém uczuciem.

Bo wy nie wiecie, że ludu potęga,
Jak z alfabetu rozprzężone dźwięki,
Z których się wieków wielkie słowo sprzęga,
Że to są tony wiekowej piosenki,
Bez której, pieśni żaden mistrz nie złoży;
I że najwięksi z mędrców i proroków
Są tylko ludu zbiorowym wyrazem;
Tak jako morze z połknietych potoków,
Tak zlane w Bogu żyć miljony razem!
Bo wy nie wiecie, że cnoty i zbrodnie,
Które społeczność zdobią albo szpecą,
Że ze składanych iskr ducha się niecą,
W jaskrawe tłumy lub w wieków pochodnie!

Lecz biada temu, kto świateł promienie
Ukradłszy braciom, sobie tylko świeci;
Anioł światłości w otchłań piekieł zleci,
Dzieje na czoło wpiszą potępienie!
Bo już na dzisiaj to nie tajemnica,
Jak się na świecie zjadł nie jeden naród;
W kast upodleniu wyrósł śmierci zaród
I zjadł, jak drzewo zjada gąsienica.
Tak w starych wiekach kasty lud obradły,
Poszły w niewolę i marnie przepadły.

Pauza.

Tak, jak się słowo jednoczy z głoskami,
Tak lud ze swego narodu mistrzami;
W nich wszystkie ludu duchowe odczucia
Są, by w kamieniu, rzeźbiarza odbiciem,
W który on wchodzi, duchem opromienia,
Żyć głazom każe ducha swego życiem;
Kamień wziął duszę i czucie rzeźbiarza,
Jest jego życiem, — lecz i materjałem!
Rzeźbiarz z kamieniem zrósł się życiem całem,
Jak farba z płótnem zlewa się w malarza,
Tak, jako z słowem zlewają się wieszcze,
Jak muzyk z tonem w harmonijne dreszcze!
Wieszcz, malarz, rzeźbiarz, — dźwięk, kamień lub słowo
Zlały się w jedno świętem ducha tchnieniem;
Jak dusza z ciałem — tak lud z swoją głową!
I albo świętym jaśnieją promieniem,

Lub się kalają spólném upodleniém.
Biada, kto będąc wybranym kapłanem
Zdeptał kapłaństwo, a został szatanem!
Kłamaną miłość kraju na siebie przywdziewa,
Kto się duchem i sercem z swym ludem nie zlewa.

Chwila uroczysta milczenia.
Hrabia i Kubiesza
czują się skompromitowani.

Kubiesza
do siebie.

Warjat, szalony! — jak Piekarski plecie,
Inaczéj myśli kto ma żonę, dziecię.

Jordan
w ekstazji.

Gdybym dziś jeszcze mógł dać serce komu,
Oddałbym je dziewczynie wieśniaczego domu,
Stałbym się z ducha synem, ojcem ludu;
Godny trud życia, godne życie trudu.
Kiedy Syn Boży mógł niebo porzucić,
By tu na ziemi zostać synem cieśli;
Za cóż ci, co się nad braci wynieśli,
Nie mogą do nich w imię Boga wrócić?

O! spójrzmy w życia domowego dzieje,
Gdy duma chuciom nie dotrzyma straży,
Żądzy niewolnik, bez woli chłopieje,
Pan z swą poddańką w śluby się kojarzy!
Lecz schłopieć z wolą — jest, jak Bóg z wysoka
Zstąpić z miłością dla wielkiego celu,
Stanąć śród ludu, jak ludu opoka!
Nie Twójże to kościół wznosić, Zbawicielu?
Nie jest to zostać idei kapłanem?
Górować arką myśli nad potopem
I skroń ozdobić nieśmiertelnym wianem,
Wziąć ducha berło, — zostać Piastem-chłopem!

Hrabia i Kubiesza:
robią giesty ironiczne.

Wodzicz.
rzucając się Jordanowi na szyję.

Stało się! — dzięki, dzięki ci, Jordanie!
Tyś w mej duszy godzinę zbawienia wydzwonił,
Wstrzymał lecącą w zepsucia otchłanie
I wzrok ślepy, dla życia przyszłości odsłonił.
Stało się! — dzięki! — dzisiaj dzień świtania
Po długiej ducha mojego ciemnicy,
Dzisiaj godzina mego zmartwychwstania!
Dziś swe serce i ducha oddaję dziewicy,

Którij dać miałem upodlenie w zysku,
Zbrudzić jéj czystość brudnemi zapały.
Od dziś mą żoną, – w jéj czystym uścisku
I w jéj miłości, ukocham lud cały!
Proszę, Jordanie i was, bracia moi,
Na moich godów z Zosią, uroczystość.

Jordan.

Ze szczęściem w duszy!

Hrabia

do siebie.

Czy to rzeczywistość?

Kubiesza.

Czy on zwarjował, czy mi się sen roi?

August

do Wodzicza.

Niech dziś przed tobą, schylę swe kolano,
Weź moje serce i nie wzgardź tą dłonią;
To serc szlachetnych należne ci wiano,
Bo święty wieniec z cnoty nad twą skronią.

Hrabia
do przyjaciół Wodzicza,
zachowujących ciągłe milczenie.

Deptać szlachectwo! brawowe! taką parę
Wprowadzać w salon! — to trzeba być śmiałkiem.

Pierwszy Przyjaciel.

Głupiś, mój hrabio!

Drugi.

Żeś głupi, za karę
Ani panienki, — ni będziesz mężatkiem.

Oba młodzieńcy ściskają Jordana,
Augusta i Wodzicza.

Hrabia
z giestem podziwienia.

To zdrada, odmęt! dziwny rodzaj faktu.

Jednak idzie i całuje wszystkich.

Kubiesza.

Cóż z mą possessją, z mojego kontraktu!
Jakie im myśli snują się szalone!...
Lecz ja mam jeszcze i dzieci i żonę.

idzie i ściska wszystkich.

Wodziez.

Więc do mnie, bracia! duch mój się weseli;
Zda się, że niebo uczucia me dzieli!

Odjeżdżają.

Scena szósta.

Chata Młynarza, gdzie szczęśliwe nadzieje i uspokojenie zupełne.

Sosnowski, Sosnowska,
Zosia, Lewiński

i inni starzy i młodzi wieśniacy.
Na stole przygotowane jedzenie i flaszka.

Sosnowski.

Gdy pociechę Bóg w dom zsyła,
Z sąsiadami człek chce dzielić;
Chodźmy razem, bracia miła,
Co Bóg dał, tém się podzielić.

Pierwszy ze starszych wieśniaków.

Jam na ręku Zosię nosił,
Jak to licho prędko rośnie;
Wiek człowieka podtermosił,
Ona teraz w samej wiośnie.

Drugi.

Niech jéj Pan Bóg szczęście daje,
Poczciwego ojca dziécię;
Gdy poczciwie żyć będziecie,
Bóg wam z ziemi zrobi raje.

Chór Młodzieńców.

Bądź tak czysty, jak krynica,
A tak zdrowy, jak dzień zimny,
A bogaty jak ziemica,
A jak ojciec, tak poczciwy.

Taniec przemyska pod oknami.

Chór Dziewic.

Bądź jasna, jak jutrznia ranna,
Jak gwiaździsty wieczór, strojna,
Jak twa matka, bogobojna!
Niech cię strzeże Święta Panna
I niech święci aniołowie
Strzegą ciebie w życiu, w mowie!

Pierwszy z wieśniaków.

To za tydzień już wesele?

Sosnowski.

Tak, za tydzień.

Sosnowska.

Bóg wie jeszcze,
Czasem jakieś zimne dreszcze
Przejdą Zosię; – całek się trwoży,
Ucierpieli tak już wiele,
To i strach się w myślach mnoży.

Łaniec.

Matka zawsze coś przeczuje.
Jak czekanie krew mi psuje!
Porwać gwałtem! czekać chwili?..
Może jeszcze by przybili.

Zosia.

tuląc się do matki.

Ej! mateczko, – po co trwoga,
Na co smutkiem szczęście truć?

Lewiński.

Za cóż Bóg by chciał nas smucić,
Gdy tak wierzym, prosim Boga?

Łaniec śmieje się.

Lewiński

ściskając Zosię..

Już Zosieczka moja, moja,
Już mi Bóg przeznaczył ją.

Zosia.

Jam, Antosiu, twoja, twoja,
Już na wieki będę twą.

Pierwszy ze Starców.

Mąż niech będzie domu głową,
Żona winna go szanować,
Strzedz ma pilnie gniewne słowo,
A mąż żony ma żałować;
Nie rozpuszczać gniewnej pięści:
Wtenczas życiu Bóg poszczęści.

Lewiński.

O, niech Bóg nas tego strzeże,
Niech mię wprzód ze świata zbierze.

Zosia.

Gdy Bóg, miłość w sercach będzie,
Z nami szczęście zawsze, wszędzie.

Sosnowski.

Lecz coś swatów naszych niema; —

BIBLIOTH. UNIV. JAGELLONICAE

Jakie licho tam gdzieś trzyma
Chodkiewicza, Żubczyńskiego?
Ej! maruder, – nie dobrego!

do Zosi.

Wyjdź no, Zosiu, do przysionka,
Czy nie idą? – Nudno czekać!

Zosia wychodzi,
Łanice porywa ją i unosi.

Sosnowski.

Podweselić się dziś godzi;
Mam starego trunku dzbanek,
By kwitł młodym szczęścia wianek,
By starzeli w szczęściu młodzi!

Chór Młodzieńców.

Podweselić się dziś godzi:
Masz starego trunku dzbanek,
By kwitł młodym szczęścia wianek,
By starzeli w szczęściu młodzi!

Chór Dziewic.

Niech da szczęście Bóg dla pary,

Niechaj długie życie da;
Wielkie rozdał światu dary,
Lecz Bóg więcej jeszcze ma!

Słychać szmer biegnącego tłumu..

Sosnowski.

Znać, swatowie będą tłumnie.

Wpadają Swatowie:

Zubczyński, Chodkiewicz

i inni starzy i młodzi Wieśniacy.

Zubczyński

do Sosnowskiego.

Ty nas trujesz bezrozumnie,
A gdzie Zosia twoja, bracie?

Sosnowski

pomieszany.

Dopiero tylko była w chacie;
Wyszła witać was w przysionku,
Tylko poszła do świeronku.

Pierwszy z Młodych.
dopiero co przybyłych.

Ej, nie poszła, – pojechała;
Powózł pański ją postaniec,
Bielutenka, tak jak chusta;
Jak wraż oczychał na nię Łaniec!
I zamykał ręką usta,
Żeby biedna nie krzyczała; –
I jak tylko nas ujrzała,
Jak w konwulsjach czasem dzieciè,
Ach! tak biedna cała drgała! –
A wy tutaj oczyjecie!...

Sosnowska
padając.

Boże wielki!

Sosnowski.

Ach! mój Boże!

Drugi z Młodych.

Darmo, – żal nic nie pomoże!

Trzeci z Młodych.

Na gwałt!.. Gwałtu, bracia trzeba...

Czwarty.

Podły! kto się nie ośmiela
Powstać przeciw gnębiciela:
I opieki nie wart nieba!

Lewiński.

stłumionym oddechem, z gwałtownością.

Moja, albo Łańca głowa!
Czuję noże w moich kościach;
Niech ją Łaniec, gdzie chce, schowa,
Znajdę w Łańca ją wnętrznościach.

Lewiński i Kilka Głosów razem.

Prędzej wszyscy! a kto stchórzy,
Podlejszy od psa w obroży.

Sosnowski

z największą godnością.

Stójcie! – to zbrodnia – ja nie przejdę progu –

I was nie puszczę ; — jam zaufał Bogu!
To święte słowo w méj duszy ożyło;
Ja was nie puszczę!

Jeden z Młodych.

Jemu serce zgniło!
Zgniły wszelkie w nim uczucia!

Sosnowski zatrzymuje ich ;
odpychając go i wylatują.
Sosnowski pada na kolana i modli się.
Cała grupa leci.

Kilka Głosów.

Wprzód zaczniemy od Knipruścia.

Jeden z Młodych.

Od Knipruścia wprzód zaczniemy.

Drugi.

On panicza chce nam zwieść.

Trzeci.

Jak nas bronił, obronimy.

Czwarty.

Knipracia wszystkich chciał by zjeść!

Jeden ze Starych.

Ja jedyne miałem dziecię,
On tak jego strasznie zbił,
Że jak w trumnie żył na świecie,
Że za życia jeszcze zgnił.

Jeden z Młodych.

Ach! jam cudną miał dziewczynę,
I w jesieni miał być ślub;
Pan ją w swoję wziął pierzynę,
Serce skruszył, wpędził w grób......

Odymitr.

gdy tak lecą zawzięci, wstrzymuje
ich z otwartemi rękami.

Stójcie, stójcie! Boga chwalcie!

Duszom swoim grzech ocalcie!
Ja leciałem ostrzedz was;
Nagle teraz kmiopuć zgasł!
Mówią słyszał o zamachu
I podobno umarł ze strachu!

Lewiński

lecąc na przedzie.

Dzięki Bogu że pies zdechł,
Mniéj dla duszy jeden grzech
z wzrastającą energią.
Hejno! prędzéj! prędzéj w goście,
Do żywego lećmy pana;
Łotr ostatni chyba z włości
Co się cofnie, lećmy w goście!

Znikają.

Dymitr

pozostaje z uczuciem bolu i powagą.

Nie wstrzymać serca, nakształt płonącego gmachu!
Oby źli, wszyscy pomarli ze strachu,
Grzech by się ludziom oszczędził poczciwym.
Boże! czy to tak trudno zostać sprawiedliwym,
Dostawszy władzę nad swemi bliźniemi?

ze smutkiem.

Biedni! przepadną! Boże! zlituj się nad niemi!

Scena siódma i ostatnia.

Dom Wodzicza – pokój bawialny.

Łaniec i Zosia.

Łaniec.

Et, głupia jesteś! – pewno się spodziewa
Pan cię zobaczyć weselszą, krasniejszą, –
I pewno myślił, że jesteś pięknięjszą.
Te, jakaś brzydka!

Zosia milczy.

Może się zagniewa
Na mnie i ciebie – i wypędzić każe;
I wtenczas twoi rodzice mlynarze
Pewno precz pójdą z swojego zaścianka!
I cóż to złego mieć w panu kochanka?

tonem przekonywającym:

Nie jedna może panienka zazdrościć;
Nie wiesz, jak dobrze tu u Pana gościć:
Jaka tu smaczna kawa i herbata,
Jakie ma piękne gorsety łamowe,
Jakie sukienki i wstążki ponsowe;
A potém może szlachcica wyswata.

Zosia w niemej rozpaczy, nieporuszona.

Laniec.

ze złośliwością.

Et- głupia!

Odchodzi do drugiego pokoju.

Zosia

klęka i modli się.

Matko Najświętsza! Przeczysta Dziewico!
Przez Syna Twego męczeńskie konanie,
O! miej nade mną święte zmiłowanie!
Przez całe życie, o Bogarodzico!
Będę ołtarze Twoje zlewać łzami,
Najpiękniejszemi przystrajać kwiatami;
Ratuj od nieszczęścia biedną duszę moją!
Matko! niewinnych Tyś tarczą i zbroją!

Słychać szum – wchodzi Wodzicz ze swojemi gośćmi. Zosia ich postrzega, zrywa się, staje nieruchoma z zakrytą rękami twarzą. – Łaniec zjawia się.

Wodzicz
do Łańca.

Precz!

Łaniec z giestem podziwienia i przestrachu odchodzi.

Hrabia.

Três charmante! ale po cóż płacze?

Jordan
zbliżając się do Zosi.

Tyś wolna, Zosiu! rzuć łzy i rozpacze;
Bóg chciał po próbach twe szczęście utrwalić.

Zosia.
poznaje głos Jordana i otwiera oczy.

Jakim pan tutaj cudem niepojętym!

Bóg pana przysłał żeby mię ocalić.
Ojciec o panu mówił, by o Świętym!
To cud, o Boże! to niebieska Pani
Ten cud zrobiła, na tej mię wejrzała!
Cud Matki Boskiej, cud! Ona przysłała,
Żeby mą duszę wybawić z otchłani!

Słychać wielki hałas i tentent: wpada cała gromada, na czele Lewiński; rzucają się zbrojni na całe towarzystwo.

Kilka Głosów.

Śmierć i zagłada dla ciemiężycieli!

Zosia

rzuca się przeciw nim, spotykając się z Lewińskim.

Stójcie, ach! stójcie! – O, święci anieli!
Oni niewinni! zbaw Bogarodzico!

Lewiński.

Czyś jeszcze szpiegu jaki? panie, czy nałożnico!

Odpycha ją z pogardą.

Jordan!

z roztwartemi rękami.

Stójcie! nie puszczę, przysięgam na nieba,
Ni kroku dalej; — wprzód mnie zabić trzeba!

Lewinski przerażony cofa się i wstrzymuje wszystkich. Chwila głębokiego milczenia.

Jordan.

do Zosi.

Pan Wodzicz niechce cię skrzywdzić, ni zgubić,
Lecz chce cię sobie za żonę poślubić.

do ludu.

Pan Bóg ją wezwał, by swych braci szczęście
Kupiła swoją przed Bogiem zasługą,
Łącząc serc rozdział przez swoje zamęście,
Jak Litwę z Polską, — łącząc spojnią drugą
Starszych i młodszych braci w hymen święty.

Hrabia.

Quelle divagation! jakie mózgów męty!

Kubiesza.

Aż śmiech jest patrzeć, co się w świecie dzieje!
Dalibóg dziwnie dzisiaj świat głupieje,
A to są figle widocznie szatana!

Wodzicz

zbliżając się do Zosi i biorąc za rękę.

Czy zgoda, Zosiu! – o, powiedz, kochana!

Zosia.

Za co pan ze mnie ubogiej żartuje?

Wodzicz.

Pan Bóg jest świadkiem, że mówię, co czuję –
I świadkiem twoi – i tu ci panowie!

Zosia.

Gdy pan tak mówi, wierzę pańskiej mowie,
Lecz ja niegodna zostać pańską żoną;
Ja prosta dziewka... mnie nic nie uczono:
Ni pięknych myśli, ani pięknej mowy.
Jam Antosiowi swe życie oddała,

Jego jednego w świecie pokochała.
I na cóż panu żda się serce wdowy?
Bo ja, jak wdowa, byłabym bez niego;
I już bym kochać nie mogła drugiego.

Lewiński.

Gdy takie ciebie dziś szczęście spotyka,
Ja nie chcę, Zosiu! na drodze ci stawać;
Ze mną — tyś biedna żona niewolnika.

Zosia.

Za co me serce chcesz, drogi, zakrwawiać!?

Wodzicz
do Lewińskiego.

O, nie! mój bracie! kto tak umie jest odsłużyć,
Temu na czole napisał Bóg: — WOLNY!

Hrabia
do siebie, z ironją.

O! jak to czule! z jakim uroczystym gestem!

Chwila milczenia: po pauzie.

Wodzicz do ludu.

Żyjcie szczęśliwi! Odkąd pomyśliłem:
Zosia jest moja, – już ją poślubiłem
W swych myślach, w sercu; – lecz tak zły nie jestem,
Żebym miał szczęście wam wasze odbierać;
Ja chcę żyć z wami i z wami umierać, –
I szczęście wasze zrobić szczęściem swojem: –
Waszego życia podzielić się mojem,
I waszę przyszłość złać, ach! z tą przyszłością,
Która się szczęścia nazywa społnością:
Przyszłość taka z pragnieniem tylko chwili czeka.
I szczęście mierzył nie liczbą zagonów,
Lecz widział szczęście swe w szczęściu miljonów.
Bo kiedy bliźni uciska bliźniego,
Każdy się z obu w niewolników zmienia:
Pierwszy, ofiarą spodlenia własnego,
Drugi, ofiarą cudzego spodlenia.
I oba winni, choć w różnej postaci.
Kto drugich nęka, wolność człeka traci.
Bądźcie szczęśliwi – i w pamięć tej chwili
Wszyscy mię przyjmcie za swojego brata;
Weźcie tę ziemię, którąście dzierżyli,
I niechaj cnoty odzieje was szata.
Ach! bądźmy tylko, o bracia! cnotliwi,
A jutro, jutro będziemy szczęśliwi!

Lud tłumi się w uściśnieniach wdzięczności do Wodzicza i wszystkich otaczających. Hrabia i Rubiosza ze wstrętem widocznym przyjmują uściśnienia.

Jeden ze starych wieśniaków.

O, święta mowa, panowie kochani!
Od dziś my wolni, a wasi poddani!
Sercem Bóg został święty cud swój boży;
Człek się spokojnie w mogile położy.
Dusza odżyła, bo widzi radośnie,
Że szczęście w świecie dla wszystkich już rośnie.
Niechaj to szczęście pocznie para młoda.

Wiele Głosów.

Na wieki wieków i miłość i zgoda!

Wodzicz do Augusta.

Odtąd śmy z sobą duchami zbratani,
Czuję się godnym zostać twoim bratem.
Marja jest siostrą dla ludu — nie panią;

Bóg sam się zdaje być dziś moim swatem.

August.

Ona cię kocha — i cierpiała wiele,
Wyście już z ducha złączeni z ludem;
Niech ślub wasz będzie w historji kościele
Dla szczęścia ludu zapisanym trudem.
Dla Lewińskiego dziś Zosia pierwszeństwo
Przyznała w myśli, z tej myśli świętością,
Że święte śluby łączące małżeństwo
Trzeba braterską uprzedzić miłością.
I tak, ach, może! nim piętro przeminie,
Co w duchu urodzono, to wyrośnie w czynie!

Wodzicz

do ludu.

Kochani bracia! wasz brat dzisiaj prosi
Na uroczysty obchód ślubu Zosi.
Lecz jeszcze bardziej chcę dziś dzień uwieńczyć,
Z waszemi się sercem na wieki zaręczyć,
A społnie serca zaręczym swe z niebem.
Miłość powszednim zróbmy swoim chlebem, —
A Bóg w stodołach da dostatek chleba;
I przykład z siebie uczyniemy dla świata.
A gdy będziecie radzi z swego brata,

Kiedy was żadna nie dojmie potrzeba,
Gdy, jak rodzina, będziem żyć, zbratana,
Wtenczas za życie i duszę Jordana
Poślijcie szczerą modlitwę do nieba!

Lud tłumi się około Jordana.
Wpada

Młynarz Sosnowski

i mówi.

Zamiast tez smutku, szczęście witam w progu,
Jam się nie targnął, bom zaufał Bogu!

Wodzicz i wszyscy ściskają poczciwego młynarza. Jawi się duch w uroczystéj białej szacie, w koronie, jak z początku: błogosławi uroczyście i znika.
Muzyka zaczyna brzmieć;
zaczynają się tańce.

Koniec.

SPIS RZECZY.

	Str.
Wstęp	III.
Część pierwsza	1.
Część druga	21.
Część trzecia	65.
Część czwarta . . .	93.
Część piąta	118.

BIBLIOTH: UNIV. JAGELLONICAE